Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 35 (1875) ● 28 sierpnia–3 września 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

PiS

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 416a806190

WOJNA DOMOWA

W sejmie toczy się awantura o fotel wicemarszałka, którego PiS wcześniej nie chciał – wobec odrzucenia przez większość kandydatury upiornej Elżbiety Witek – ale teraz obudził w nim się syndrom psa ogrodnika. Rozwój Plus pierwotnie zapowiedział, że poprze zgłoszonego znienacka przez PiS Marcina Ociepę, ale teraz sobie wymyślił, że właściwie jemu też się należy. Ociepa – który już witał się z gąską, toteż wyraźnie czuje się oszukany – napisał na Iksie w tonie niepozbawionym groźby: „Obecnie rozstrzyga się TYLKO TO, czy w przyszłym Sejmie opozycja – obecnie rządzący będą mieli swojego wicemarszałka(ów), czy miejsca w prezydium podzieli między sobą wyłącznie nowa koalicja”. Co było głupią i histeryczną deklaracją z gatunku: jak będę duży, to zobaczycie. Zanim jednak zdążyliśmy się oburzyć tak oczywistą zapowiedzią złamania zasad obowiązujących w sejmie od 37 lat – odezwał się wicepremier Gawkowski: „PiS nie chce współpracować, a Rozwój Plus czasami ustami Morawieckiego mówi co innego, więc ja bym nie wykluczał, że to Rozwój Plus może dostać wicemarszałka”. Czyli: jak Mateuszek będzie grzeczny, to Mateuszek dostanie… Czy w tym sejmie, jak rany koguta, mógłby zasiadać ktoś dorosły?

Mamy też konkurencyjną aferę: Zondacrypto, czyli upadek piramidy finansowej zbudowanej na frajerstwie ludzi, którzy uwierzyli w magię bitcoina i kapitalistyczną potęgę słowa „giełda”. Teraz szef tego interesu Przemysław Kral zamienił adwokata pisowskiego Bartosza Lewandowskiego na tandem Giertych & Dubois, co wskazuje, że będzie sypał pisowców. Giertych zapewnia, że Kral oddał, co ukradł. W razie, jakby ktoś się martwił, czym wobec tego zapłaci Giertychowi – mecenas dodał, że pracuje pro bono. Odpowiedź na pytanie, czyje bono, nie jest specjalnie trudna do odgadnięcia – i raczej nie jest to w tym przypadku klient.

Ciekawsze pytanie brzmi: kogo uda się w ten sposób upolować? Niewątpliwie rząd ma na oku prezydenta – ale jak na razie pokot jest znacznie skromniejszy. Póki co jedyny trącony polityk PiS to poseł o niefortunnym w dzisiejszych czasach nazwisku Moskal, który – jak donoszą media – spotkał się z Kralem na Ibizie, a półtora miesiąca później PiS złożyło 14 poprawek łagodzących ustawę o kryptowalutach. „Takie spotkanie było planowane w innej lokalizacji, potem zostało przekazane zaproszenie, które było tam w związku z jakimś wyjazdem pana Krala. Stwierdziliśmy, że to spotkanie powinno się odbyć, no, Hiszpania przecież nie jest żadnym dziwnym miejscem, jeśli się rozmawia o nowych technologiach, w tym o sztucznej inteligencji, o fintechu, to normalne jest spotykać w różnych miastach w Europie” – tłumaczy bardzo wiarygodnie poseł Moskal. Ależ oczywiście, przecież nikt nie podejrzewa, że poseł pojechał tam na clubbing, ćpanie i ruchanie. Takie rzeczy nie wydarzają się na Ibizie.

Prezydent Nawrocki uwalił ustawę „lex szarlatan”, z troski o zielarzy, i tę o dostępności transportu publicznego – nie do końca wiadomo, z troski o kogo. Ministerstwo Finansów wyliczyło, że dotychczasowe weta Nawrockiego kosztowały budżet 8 mld zł i strona rządowa bardzo się z tego ucieszyła. Tutaj zero zdziwień. Za to szczerze zadziwił nas dr hab. Błażej Podgórski z Akademii Leona Koźmińskiego, który w Polsacie bezczelnie zauważył, że 8 mld zł to „1,3 proc. wpływu budżetu państwa i 0,8 proc. wydatków” – czyli tak jakby „50 zł z miesięcznego budżetu osoby, która zarabia średnią krajową”. Jakby tego było mało, ten sam bluźnierca wywiódł, że wśród pięciu głównych bloków wydatków – na programy socjalne, dofinansowanie ZUS, opiekę zdrowotną, ogólne funkcjonowanie państwa i obronność – tak naprawdę oszczędności można poczynić tylko w tym ostatnim. I dodał, że wydatki na zbrojenia są „irracjonalnie wysokie”, „dwukrotnie wyższe niż przed wybuchem wojny na Ukrainie”, toteż rodzi się „pytanie, czy faktycznie musimy się zbroić na wojnę”. Dr hab. Podgórski awansował niniejszym na naszego ulubionego ekonomistę, zaraz za prof. Kołodką, którego miazmaty na ALK wyraźnie sięgają dalej, niż można było się spodziewać.

W życie weszło rozporządzenia ministra cyfryzacji zobowiązujące wszystkie urzędu stanu cywilnego do transkrypcji europejskich aktów małżeństw jednopłciowych. To jeden z tych przypadków, kiedy naprawdę lepiej późno niż wcale, więc gratulujemy wicepremierowi Gawkowskiemu (zwłaszcza że nie mamy do tego okazji zbyt często). W obronie tradycyjnego małżeństwa głos zabrał intelektualista PiS poseł Suski, który ogłosił, iż teraz na pewno „ktoś uzna, że można na przykład wziąć ślub z krokodylem, bo i takie przypadki były, no, noc poślubna była tragiczna dla pana młodego”. I jeszcze wspomniał taki „żart rysunkowy: dwóch panów, a potem pan z kozą”, bo „w takim kierunku to zmierza”. Posłowi Suskiemu też gratulujemy: nikt tak trafnie jak on nie scharakteryzował poziomu intelektualnego oraz stopnia humanizmu przeciwników równości małżeńskiej.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

wrzesień 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętej Nataszy

Trwał w kraju festiwal ku czci Mazowieckiego. Poznałem go w połowie lat 50. Przychodził do redakcji „Po Prostu” omawiać druk oświadczenia o jego wystąpieniu z PAX Piaseckiego. Potem to coś zmieniał w tekście, to dopisywał kolejnego odstępcę. W każdym razie pamiętam, że siedzimy w pokoju w czterech. Eligiusz Lasota, Jan Olszewski, Tadeusz Mazowiecki i ja. Gdyby ktoś przepowiedział, że dwóch z nas będzie premierami, to bym się zdziwił i typował raczej tych dwóch z nas czterech, którzy premierami nie zostali. W 10 lat później przepowiadałem Michnikowi, też mylnie, że zostanie premierem. No, ale wyrósł na trubadura premiera Mazowieckiego.

Świętej Moniki

Gdy na polskich polach wylądowały niespodziewanie grupy amerykańskich monstrualnych helikopterów, ambasador USA powiedział roześmiany w telewizji, że Amerykanie czują się w Polsce jak u siebie. Dawni ambasadorzy ZSRR byli bardziej taktowni.

Świętego Augustyna

Putin już wygrał Ukrainę. Po wycofaniu resztek rosyjskich wojsk Kijów będzie miał na głowie prorosyjską autonomię i prorosyjską konspirację. Do tego antyeuropejskie bunty nacjonalistów rządzących Ukrainą Zachodnią. Unia Europejska nie udźwignie ukraińskiego zadłużenia i nie zaspokoi ukraińskich potrzeb. Wywoła to rozczarowanie Kijowa Brukselą i próbę flirtu na dwa fronty – z Brukselą i Moskwą – wzorem obalonego Janukowicza. Próba układania się z Moskwą wywoła na Ukrainie niechęć do znów lawirującego Kijowa, gdyż Putin wykopał polityczną i emocjonalną nienawiść Ukrainy do Rosji. Wnioski dla Polski: koncepcja polityczna Giedroycia poszła się jebać. Ukrainie nie możemy pomóc, lecz tylko słodzić jej słowami. Czas dogadywać się z Rosją. Zacząć trzeba od stłumienia polskiej histerii wojennej. Dyplomacja moskiewska mogłaby w tym pomóc, działając we własnym interesie. Gwarancje dla Polski złagodzą wyobcowanie Kremla. Normalizacja stosunków z Rosją wymaga skomplikowanych kombinacji. Chodzi o osłabienie tam fali antyeuropejskiego wielkoruskiego nacjonalizmu, a jednocześnie osłabienie podstaw władzy Putina. Należy mistrzowsko operować kijem i marchewką. Myślę, że kijem winien machać Waszyngton, a Bruksela marchewką. Konkretnie: obniżać trzeba uparcie ceny paliw, ale nie drażnić Rosjan sankcjami, rozumieć ich punkt widzenia. Utrudniać zbrojenia, ale ułatwiać podróże, wymianę młodzieży i rozwijać stosunki kulturalne. Łechtać rosyjską dumę, rozładowywać kompleksy, propagować alternatywę wobec ambicji imperialnych. Niech Komorowski pojedzie do Moskwy i powie po rosyjsku, że dramat bratniej Ukrainy łączy nas, a nie dzieli. I pochwali Puszkina.

Świętej Sabiny

Daniszewska wywiozła mnie na urlop, powodując nieszczęście. Jej ukochany kot Fidel, lat 15, pod naszą nieobecność uciekł z domu i nie wrócił. Zapewne nie żyje. Nie mógł znieść tego, że Daniszewska go opuściła. Reszta zwierząt wyraźnie wini nas za odejście Fidela. Pudel Azor nawet się ze mną nie przywitał. Gdy mówię do niego, nie reaguje. W ogóle nie zauważa mojego istnienia. Towarzystwa przyjaciół zwierząt powinny żądać ustawowego zakazu wyjazdów dla patronów jakichkolwiek ssaków z wyjątkiem dzieci. Te można zostawiać, gdyż są mniej wrażliwe, zresztą pies je drapał. Za to urlop wspaniale mi się udał. Wpierw nie mogłem się ruszać z powodu bólu kręgosłupa, potem upadłem i się potłukłem, następnie torturowały mnie hemoroidy. Wróciłem zdrów.

Świętego Fiakra

Rząd pani premiery Koparki łatwiej niż rząd Tuska pokona PiS. Chodzi nie tylko o blask nowości. Siedem lat plucia kaczystów na Tuska poszło na marne.

Świętej Aristydy

12 września w obiad miałem się stawić na wezwanie Sądu Rejonowego dla Mokotowa w Warszawie, VIII Wydział Karny. Ledwie ruszyłem sprzed domu, sąd zadzwonił do samochodu, żebym się nie fatygował, bo sprawa przełożona. Jest to niesamowite zdarzenie. Normalnie się przyjeżdża, choćby i do Szczecina, i całuje sądową klamkę. Czuję się więc w obowiązku publicznie serdecznie podziękować pani Katarzynie Skwarczyńskiej i całemu sekretariatowi VIII Wydziału Karnego. Nawet siedzenie z wyroku tak pełnego kurtuazji sądu byłoby dla mnie przyjemnością. I działo się to w czasie, gdy ministrem sprawiedliwości był niejaki, szkoda słów, Biernacki. Gdybym go nazwał, miałbym wezwanie.

Świętego Gilesa

Daniszewska zaprosiła do nas do domu homoseksualne małżeństwo dwóch kelnerów z Korsyki. W programie opera, muzeum Chopina i powstania, Stare Miasto i najlepsze restauracje z polskimi daniami. Daniszewska bardzo się do wizyty szykuje. Jedni zapraszają biedne Murzyniątka, ona tych, którzy są prześladowani w Polsce: małżeństwo monopłciowe.

Świętego Gregora

Daniszewska zawsze wynajduje byłego przyjaciela lub przyjaciółkę, która jest umierająca i rozwija nad nią patronat. Wtedy w pełni czuje swoją przewagę witalną. Azor zjadł z mojej ręki kawałek pieczonego indyka. Chyba zaczyna mi wybaczać wyjazd na urlop. Wilczur, którego na spacerach Daniszewska przez płot pasie smakołykami, także okazał jej wiele łaskawości. Dzięcioł von Urban Garten trzeci miesiąc powiększa dziurę do swojego domku na drzewie. Nawet w stalinowskich łagrach mieli lepszą wydajność pracy. Ja bym z litości dla dzięcioła wezwał stolarza, ale Daniszewska mówi, że ptak straci wtedy cel w życiu.

Świętej Ingridy

Biskupi zbiorowo przepraszają za pedofilię swoich księży. Indywidualnie mówią zaś, że była i jest ona rzadkością i nic o niej nie wiedzieli. Jak nie wiedzieli, to za co przepraszają? Biskupi powiadają, że gotowi są przepraszać, ale płacić nie. Radzę żądać: wpierw szmal, potem słowa. Odwrotnie niż w ich religii, gdzie „Na początku było Słowo”, a teraz zamieniane jest na złote. Cała grupa naczelnych z gorylami na czele wstydzi się swoich krewnych – biskupów.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętej Rosalji

Ameryka chce z powietrza zniszczyć Państwo Islamskie powstałe po części na podbitych przez nią ziemiach. Z powietrza można burzyć miasta, mosty, porty, ale nie państwa i wiarę. Gdyby bombami można było wytrzebić katolickie państwo w państwie polskim i jego talibów, poprosiłbym o tę przysługę lotnicze firmy tępiące szkodniki.

Świętej Raisy

My, Polacy, marzymy o tym, żeby matka małej Madzi wyszła z więzienia, porwała Pendolino, rozjechała nim czworo dzieci, schowała się i aby cały naród jej szukał z detektywem Rutkowskim na czele. Widzowie telewizji potrzebują ciekawego tematu. Społeczeństwo znudzone jest bowiem spekulacjami w TV, kto wejdzie do rządu Kopacz, co ludności w ogóle nie obchodzi, skoro do rządu tak czy siak nie wchodzi matka małej Madzi. ❑

Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Siostra Apostazja małpuje Morawieckiego

Jako purytański katolik acz niepraktykujący antyklerykał gorąco protestuję przeciwko okładce numeru 34 „NIE”! Oczywiście nie przeciw apetycznej i wartej grzechu siostrze Apostazji, ale czynności, którą propaguje. Grillowanie jest wyjątkowo niewłaściwym zwyczajem Polaków. Znajomy chemik wyliczył mi kilkadziesiąt związków chemicznych zawierających toksyny i inne trucizny wydzielające się podczas tej czynności, które są konsumowane. Małpowanie prawicy, i to Morawieckiego, uważam za przejaw skrajnej głupoty. Tak – w „NIE”! Ja rozumiem, że wasz patron dożył – pomimo niezdrowego trybu życia – sędziwego wieku, ale jego małżonka już nie… A tak chciałbym jeszcze z Wami trochę poobcować…

Czytelnik

Wyższa forma obrony

Nawiązując do wypowiedzi Głowy Państwa o polskich obrońcach Monte Cassino, pragnę zauważyć, iż kryje się w niej może nie od razu widoczna, ale jednak głęboka mądrość. Jeśli, jak powszechnie się przyjmuje, najlepszą obroną jest atak, szturmujący niemieckie pozycje Polacy podejmowali działania jak najbardziej obronne; im gorliwiej atakowali, tym żarliwiej się bronili; (...) rzekomy atak był zatem w rzeczywistości wyższą formą odpierania natarcia wroga. Polacy przecież zawsze tylko się bronią i nieatakowani każdemu nieba by przychylili. Tylko perfidne Niemce po swojemu odwróciły kota ogonem, sytuując siebie, zawsze przecież agresywnych i zaborczych, na rzekomych pozycjach obronnych. Szczęściem przywrócona została właściwa Pamięć Narodowa przez jej Bezcennego Stróża.

Grzegorz Ruch Lewic(z)

eprasa.pl 416a806190

Jebać opresyjną szkołę

Zostawcie dzieciaki w spokoju!

Rys. HENRYK CEBULA

1 września zaczyna się szkoła, a dla rzeszy polskich dzieciaków zaczyna się gehenna. W naszym pojebanym społeczeństwie edukacja dla dzieci i młodzieży jest często traumatycznym doświadczeniem, niekiedy prowadzącym nawet do samobójstw.

Z uwagą pochylam się nad niedolą nauczycieli – zwłaszcza zaś, patrząc statystycznie, nauczycielek – którzy są marnie opłacani, zmuszeni do realizowania przeładowanych podstaw programowych, sekowani przez dyrektorów i roszczeniowych rodziców. Ale koniec końców są to osoby dorosłe, których nikt nie zmuszał do wyboru ścieżki kariery. W placówkach edukacyjnych dzieci są zaś z przymusu, bo istnieje obowiązek szkolny.

Co się stało z naszą klasą?

Swego czasu Fryderyk Engels powiedział, że wojsko danego państwa jest odbiciem jego społeczeństwa. Dokładnie tak samo jest – na dobre i złe – ze szkołą. A polskie społeczeństwo jest skrajnie klasowo podzielone, omamione ciągłym wyścigiem szczurów i panicznym lękiem przed utratą pozycji społecznej. Polityczne harce elit wprowadzają zaś do wielu domów toksyczną atmosferę źle wpływającą również na dzieci i młodzież.

Jak ujęła to Maria Rościszewska w pracy zatytułowanej „Gra w klasy – szkoła jako miejsce reprodukcji nierówności społecznych", system edukacji ignoruje różnice klasowe: „Klasa ludowa w nim się nie odnajduje, bo jest opresyjny i wpaja wiedzę niepraktyczną, w pewien sposób wyalienowaną z perspektywy ucznia. Dlatego też reprezentanci tej klasy źle wspominają szkołę i brak im umiejętności, by z niej skorzystać".

Inna rzecz, że klasa średnia – pisze Rościszewska – „którą cechuje etos pracy, potrzeba porządku, rywalizacji i bezpieczeństwa, powinna odnajdywać się w polskim systemie edukacji dość dobrze – nieraz jednak będzie na niego narzekać lub wręcz z niego uciekać, rezygnując z publicznej edukacji na rzecz prywatnej albo tzw. społecznej, ponieważ zależeć jej będzie na wysokim poziomie, umożliwiającym awans społeczny".

Doszło już do tego, że w edukacji wyścig zaczyna się już na poziomie żłobka, a jest bardzo widoczny na etapie przedszkola. Dziwi mnie, że jeszcze nikt nie wpadł na pomysł, by otworzyć przedszkole prawniczo-medyczne. Moja znajoma wydaje prawie całą pensję (ma bogatego męża, więc może sobie na to pozwolić) na przedszkole anglojęzyczne dla dziecka, aby już od najwcześniejszych lat obracało się w kręgu ludzi zamożnych i wpływowych. Potem chłopak, szczerze mówiąc chyba nieszczególnie zdolny, pójdzie do prywatnej anglojęzycznej szkoły z odpowiednio wysokim czesnym wykluczającym z góry dzieci z nie dość majętnych rodzin.

Mózg się gotuje

Przypomniałam sobie własną szkołę średnią, która generalnie była fajna i na luzie, a moja wychowawczyni, pani od historii, była mądrym, życzliwym człowiekiem stającym po stronie uczniów i uczennic. Nie oznacza to jednak, że zawsze było kolorowo, zwłaszcza dla takiej uczennicy jak ja, która nie mogła liczyć, że ktokolwiek pomoże jej w lekcjach fizyki czy matematyki.

Pamiętam, jak próbowałam wręcz schować się pod ławkę, gdy w pierwszej klasie ogólniaka był sprawdzian z fizyki. Odpytywanie przy tablicy z matematyki – z funkcji trygonometrycznych, a więc na poziomie szokująco wyższym niż w podstawówce – chyba mi skróciło życie o parę lat, a na pewno zafundowało chroniczny stres. Pytam, czemu to służyło? Kto na tym zyskał? Co dobrego dla kogokolwiek z tego wynikło? Nic.

A dzisiaj jest o wiele gorzej. Sięgnęłam do książki z 2022 r. Małgorzaty Gołoty „Żyletkę zawsze noszę przy sobie. Depresja dzieci i młodzieży". Wynika z niej wprost, że dzieci i młodzież są traumatyzowani przez system edukacji.

Paradoksalnie rzecz nie w tym, że dzieci są dziś słabsze i głupsze, niż byli za młodu ich rodzice czy dziadkowie. Są generalnie mądrzejsze i bardziej świadome faktu, że wtłacza się im się do głów masę niepotrzebnych informacji. Przeciążenie poznawcze jest wręcz zabójcze, tu nie idzie o czyjąś głupotę lub mądrość, lecz o faszerowanie chłonnych umysłów, niczym narkotykami, bredniami, o których jak najszybciej po zaliczeniu klasówki należy zapomnieć dla własnego dobra.

Nie jest bynajmniej przypadkiem, że kiedy znany psycholog Wojciech Eichelberger na swojej stronie internetowej opublikował 10 najważniejszych przyczyn depresji u dzieci i młodzieży, na pierwszym miejscu umieścił opresyjny i anachroniczny system szkolny.

Konsultantka krajowa w dziedzinie psychiatrii dzieci i młodzieży dr hab. n. med. Barbara Remberk zauważyła z kolei, iż „akceleratorem problemów psychicznych młodych ludzi w Polsce jest szkoła".

Gołota cytuje Marcina Łokciewicza, pedagoga terapeutę w Centrum Leczenia Dzieci i Młodzieży w Zaborze: „Szkoła powinna być dla uczniów przyjazna i powinna uczyć przede wszystkim wyszukiwania informacji. Dziś taka nie jest. Podstawy programowe są przeładowane, na oko jakieś 40 proc. rzeczy w nich umieszczonych jest niepotrzebnych. W mojej szkole, tej, którą pamiętam sprzed lat, zawsze był czas i na naukę, i na zabawę. A dziś? Niezliczona liczba sprawdzianów, testów, nauka trwa od ósmej do siedemnastej, potem korepetycje, zajęcia dodatkowe"…

Ale na szczęście dzieciaki nie są całkiem bezradne.

Grunt to bunt

Już niemiecki filozof z połowy ubiegłego stulecia Theodor Adorno zauważył, że opór stanowi podstawę indywidualnej niezależności. Bunt wobec niesprawiedliwości i przemocy jest wpisany w DNA wszelkiego rozwoju osobowości i charakteru. Bez niego stajemy się jedynie wymiennymi trybikami w machinie społecznej. Wiele dzieciaków może nie wie do końca, czego chce, ale wie dokładnie, czego nie chce: ciągłego oceniania, wyścigu o więcej pieniędzy czy popularności.

Najlepsze, co może zrobić uczeń, to mieć w dupie te wszystkie bzdury, które uważa za absurdalne, i skupić się na rozwijaniu koleżeńskich i przyjacielskich relacji, a także rozwijaniu indywidualnych talentów.

Prawie każdy jest w czymś lepszy niż większość ludzi. Nie wolno zabijać talentów – czy to do haratania w gałę, czy informatyki. Znam sporo ludzi, którzy niekoniecznie mieli świetne oceny, a w dorosłym życiu robią to, co im sprawia przyjemność, a jednocześnie potrafią się z tego utrzymać, nieraz na niezłym poziomie.

Co ciekawe, opór może mieć charakter emancypacyjny, wyzwalający, i to nie tylko dla uczniów, ale niekiedy i nauczycieli. Jak ujęła to Hanna Achramowicz z Uniwersytetu Wrocławskiego w artykule naukowym „Dziecięce strategie oporu szkolnego w kontekście prawa do partycypacji publicznej": „Pomimo wielokrotnie podejmowanych prób tłumienia oporu, ma on tendencje do ciągłego odnawiania się. Pojawia się zawsze tam, gdzie występują najmniejsze już przejawy dominacji i opresji. Opór stanowić może krytyczne uczestnictwo w rzeczywistości, co blisko związane jest z pojęciem partycypacji".

Szkoła jest miejscem uczestnictwa dzieci i młodzieży w społeczeństwie, wprowadzania ich w jego świat. Nie ma w tym nic złego, lecz nikczemne jest społeczeństwo, które zafundowaliśmy najmłodszym. Chciałabym, aby w końcu przestało wobec polskiej szkoły stosować się słynne stwierdzenie z „Medalionów" Zofii Nałkowskiej: to ludzie ludziom zgotowali ten los…

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Nowacki rok szkolny

Episkopat życzy zdrowia, ale nie w planie lekcji

Biskupi są jak supermarkety – jeszcze się dobrze wakacje nie skończyły, a oni już przypominają o istnieniu szkoły. Sklepy straszą promocjami na plecaki i zeszyty, a purpuraci straszą ministrę edukacji piekłem, jeśli nie odwoła swoich lewackich zamiarów.

Konferencja episkopatu odezwała się w sprawie dwóch przedmiotów, które – choć z zupełnie odmiennych powodów – leżą biskupom na wątrobie. Chodzi o religię i edukację zdrowotną.

W skrócie: religia ma być, a edukacja zdrowotna won! Episkopat skomunikował się z ministerstwem w swojej ulubionej formule: oświadczeniem. Oprócz listów to ukochana przez purpuratów forma kontaktu, bo wyklucza natychmiastową ripostę.

MEN odszczeknęło się w mediach ustami swoich przedstawicielek. Barbara Nowacka stwierdziła, że „przed 1 września biskupi znów próbują wywołać awanturę wokół oświaty", zaś Katarzyna Lubnauer w Radiu Zet wyznała: „Mam wrażenie, że Kościół postanowił pójść na wojnę z edukacją zdrowotną, co uważam za akt desperacji, ponieważ edukacja zdrowotna jest przedmiotem czysto wiedzowym".

Biskupi zgłaszają zdanie odmienne. Uważają że to właśnie katecheza jest przedmiotem wiedzowym, edukacja zdrowotna zaś – czysto ideologicznym. Dlatego religii być powinno tyle, co dawniej, czyli więcej.

„Pragniemy jasno powiedzieć, że lekcje religii nie są przywilejem Kościoła. Są konstytucyjnym prawem uczniów i rodziców, wynikającym z zasady wolności sumienia i wyznania oraz prawa rodziców do wychowywania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Lekcje religii pomagają kształtować sumienie, uczą odpowiedzialności, budują hierarchię wartości. Nie służą wyłącznie osobistej formacji wierzących. Pozwalają lepiej poznawać historię Polski i Europy, literaturę, sztukę, etykę społeczną i wiele innych obszarów kultury" – nauczają biskupi. O edukacji zdrowotnej – zwłaszcza o jej nieobowiązkowym module dotyczącym zdrowia seksualnego – mają zdanie zgoła przeciwne: „Wychowanie tak wrażliwej sfery ludzkiego życia musi szanować prawo rodziców do decydowania o jego kształcie. Państwo powinno wspierać rodzinę w wychowaniu, a nie przejmować jej podstawowych funkcji. Seksualność powinna być przedstawiana w perspektywie relacji małżeńskich i rodzinnych, ponieważ w tym kontekście służy autentycznemu dobru człowieka. Niepokoi także brak jednoznacznego stanowiska, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny"…

No to sobie pogadali. Spór jak zwykle pozostanie nierozwiązany. W sondażach Polacy opowiadają się raczej za tezą, że szkoła jest zideologizowana – niezależnie, czy rządzi nią Czarnek z HiT-em, czy Nowacka z edukacją zdrowotną.

Im więcej sporów o katechezę czy edukacją zdrowotną, tym lepiej dla MEN i jego szefostwa. Pani minister, niezbyt popularna nawet wśród własnego elektoratu (ale który minister edukacji był pupilem nauczycieli, uczniów i rodziców?), zawsze może liczyć na biskupów, którzy chętnie odwrócą uwagę od jej innych niepowodzeń i wymuszą odruchy solidarności z atakowaną.

Być może gdyby nie episkopat, Nowacka dawno już zostałaby zdymisjonowana. Donald Tusk nie chce wyjść na tego, który klęka przed biskupami. Bo może i nie klęka, ale często schodzi z drogi, co im w zupełności wystarczy.

A za zjebanie dzieciakom ostatniego tygodnia wakacji swoją namolną obecnością w mediach – wszystkim pała.

MATT KOBOSKO

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Niech pani wejdzie do sklepu i kupi taką bombę jak, dajmy na to, mąkę, cukier albo trampki. A w życiu! Ktoś musi panią polecić, wypełnić za panią rekomendacje, deklaracje, proklamacje. To jest towar ekskluzywny, a nie byle dynamit czy semtex. I ten osobnik mnie polecił, zapłacił, nie powiem, ale przecież musiałem wszystko zwrócić, zapłacić co do grosza, a raczej co do eurocenta.

Ja tu mam certyfikat, zaraz pani pokażę, dobrze, do kamery. Co tu jest napisane? Że jestem jedynym właścicielem tej bomby. Imię i nazwisko. To ja. Wszyscy znają nazwisko, imię i mnie.

Ja, pani redaktor, za to zapłaciłem. W ratach. Pierwsza rata, druga, trzecia i tak dalej. Ja finalnie temu osobnikowi oddałem całą kwotę. Pokwitowanie? Pani redaktor, niech pani da spokój…

Nasi widzowie mogą zapytać, po co mi taka bomba za czterdzieści tysięcy euro, pani może zapytać, moja żona zapytała. Właśnie, człowiek na pewnym poziomie społecznym, na pewnej pozycji zawodowej, profesjonalnej, powinien mieć dobre pióro, dobry portfel i dobrą bombę. Bombę, pani redaktor.

Ten osobnik, jak o nim mówią, ma być świadkiem koronnym i dlatego on kłamie, że mi tę bombę dał. Dał, dobre sobie… Zapłaciłem w ratach, ale to już mówiłem. A oni z pomocą tego osobnika i za pomocą bomby chcą wysadzić z siodełka pana prezydenta! Taki jest ich cel, a ja jestem tylko ofiarą ich perfidii.

Oto, pani redaktor, cała prawda i tylko prawda o tej bombie zegarkowej.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl 416a806190

Sprawa Gorgonowej, edycja 2026

Rzeczpospolita Polska piarowa

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nasz kraj jest tak zajebisty, że najwyższa pora opowiedzieć o nim światu – uznał premier i powołał pełnomocnika rządu ds. promocji Polski. Niestety kolejna na przestrzeni lat próba wypromowania polskiego brandu na arenie międzynarodowej zakończyła się, nim na dobre się zaczęła.

Cuda-wianki

„Polska jest cudem, jest czymś wyjątkowym. Warto umieć nazwać to, że rozwijamy się najszybciej w Europie i że jesteśmy absolutnym fenomenem wśród wszystkich państw, które po 1989 r. przystąpiły do Unii Europejskiej" – zachłystywał się podczas lipcowej konferencji Donald Tusk i zapowiedział stworzenie spójnego systemu zarządzania marką narodową. Funkcja pełnomocniczki rządu ds. promocji marki Polski przypadła dr hab. Barbarze Mróz-Gorgoń, profesor Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu i specjalistce od spraw strategii promocyjnych i kształtowania wizerunku.

Kompetencje ekspertki wydawały się niekwestionowane. Doradzała polskim oraz międzynarodowym firmom w zakresie marketingu, public relations i strategii rozwoju. W ostatnich latach współpracowała z organizacjami biznesowymi, m.in. Pracodawcami RP, Zachodnią Izbą Gospodarczą czy Związkiem Przedsiębiorstw Finansowych. W 2025 r. założyła Fundację Marka Polska Think Tank, która zajmuje się dyskusją o budowaniu marki kraju nad Wisłą i jego konkurencyjności na arenie międzynarodowej. Nominacja specjalistki spoza stricte politycznego klucza budziła spore nadzieje. Pierwsza gównoburza, w którą wpadła, brutalnie zweryfikowała te laurki.

Do zadań Barbary Mróz-Gorgoń miało należeć m.in. przygotowanie strategii budowy narodowego brandu oraz koordynacja działań, które pozwoliłyby wzmocnić atrakcyjność turystyczną kraju, wesprzeć inwestycje i budować silniejszą pozycję Polski na świecie.

Niestety – jak wkrótce miało się okazać, nie był to pierwszy biznesowy romans specjalistki z rządem. W czerwcu 2025 r. Ministerstwo Sportu i Turystyki w ramach konkursu wyłoniło wykonawcę podstrategii turystycznej Marka Polska. Zlecenie wycenione na blisko 200 tys. zł zrealizowało Stowarzyszenie Konferencje i Kongresy w Polsce, powierzając kierownictwo merytoryczne projektu badawczego właśnie Barbarze Mróz-Gorgoń.

„To czas rozmów, diagnoz i wspólnego wypracowywania rozwiązań, które pomogą skutecznie wypromować Polskę na arenie międzynarodowej" – zachwalało kooperację ze specjalistką SKKP w swoich social mediach. Umowa z ministerstwem mówiła o przygotowaniu opracowania pt. „Strategia Marki Polska", organizacji warsztatów eksperckich i paneli dyskusyjnych. Wykonawca przedstawił sprawozdanie z realizacji umowy, a MSiT klepnęło sprawę.

Współpraca nad projektem musiała być inspirująca, bo już w sierpniu tego samego roku do Krajowego Rejestru Sądowego wpisano wspomnianą wcześniej Fundację Marka Polska Think Tank, którego prezeską została pani doktor. Pies z kulawą nogą nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie zaproszenie Barbary Mróz-Gorgoń na rządowe salony.

Pożar w burdelu

O działalności samej fundacji wiadomo niewiele. Z wpisu do KRS wynika, że w jej radzie zasiadają m.in. znany wrocławski adwokat Jędrzej Jachira (prywatnie brat posłanki KO Klaudii Jachiry), rektor Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie prof. Grzegorz Mazurek czy eksprezydent Wrocławia i były prezes organizacji Pracodawcy RP Rafał Dutkiewicz.

Fundacja Marka Polska przedstawia się na stronie internetowej jako „niezależny think tank" działający na styku nauki, kultury, polityki i biznesu. Zapowiada analizy strategiczne i działalność ekspercką. To w zasadzie wszystko. W zakładce „Dokumenty" można znaleźć informację, że „zostanie dodana wkrótce". Podobnie wyglądają zakładki „Download" i „Press Room". Do niedawna na stronie wisiał anglojęzyczny raport „Poland: a global impact. Seven narratives about what the world actually says about us", który zawierał analizę blisko miliona wspomnień o naszym kraju z całego świata. Plik wyparował podobnie jak druga publikacja – „Polaków Portret Własny. Raport z badań DNA marki Polska", która pogrzebała rządową karierę pani prezes i ją samą pod gruzem podśmiechujek i oskarżeń o niekompetencję.

Mowa o 25-stronicowym dokumencie opatrzonym logotypem Ministerstwa Sportu i Turystyki, Stowarzyszenia Konferencje i Kongresy w Polsce oraz samego think tanku. „Analiza ekspercka DNA marki polskiej, psychologicznych wymiarów tożsamości, globalnych trendów nation brandingu oraz konkretnych rekomendacji dla budowy spójnej, długoterminowej strategii brandingowej na arenie międzynarodowej"

okazała się zlepkiem korpogadki i halucynacji AI. Cała Polska śmiała się ze znalezionych w kwicie baboli: „tradycyjnej chlebowości" czy Katowic w „północnym centrum Polski".

Sprawę nagłośnił związany z Instytutem Sobieskiego członek Prawa i Sprawiedliwości Sebastian Meitz. Mróz-Gorgoń zapewniała, że upubliczniony plik stanowił wersję roboczą, która nigdy nie powinna trafić do sieci. Ponadto nie był częścią zamówienia ani umowy z ministerstwem, a praca badawcza została przeprowadzona zgodnie z zasadami nauk społecznych w oparciu o opisaną metodologię. Ministerstwo Sportu i Turystyki w trybie pilnym odcięło się od pokracznego kwitu i opublikowało na swojej stronie pełny 150-stronicowy raport o tytule „Strategia Marka Polska". Gówno to kogo obeszło. Cyfrowy brudnopis zrobił furorę nie tylko z powodu treści. Wcześniej MSiT oficjalnie chwaliło się konferencją „Przyszłość Marki Polska" w Akademii Leona Koźmińskiego, gdzie w 2025 r. zaprezentowano nieszczęsny raport. Resort nazywał wtedy publikację „najszerszym jakościowym opracowaniem przygotowanym do tej pory na potrzeby budowania marki narodowej". Dokument był też oficjalnie udostępniany do pobrania. Wielka sprawa, może komuś pomyliły się foldery na pulpicie…

Sprawą zajęła się prokuratura, a Barbara Mróz-Gorgoń złożyła dymisję. „Przy tej niewyobrażalnej skali hejtu niemożliwe jest pełnienie tak odpowiedzialnej roli. Mam nadzieję, że ważny dla Polski projekt będzie kontynuowany bez względu na trudności" – napisała na portalu X 23-dniowa ministrzyca. Oj tam! Wyśmianie błędu nie zawsze jest eleganckie, ale nie każda kpina jest przemocą.

Nie ma się o co obrażać. Budowanie i ujednolicanie marki narodowej to proces, na którym wyhuśtało się już wielu. Z biegiem lat powstało wiele strategii, które często kończyły się na papierze.

Ku pamięci, mięci kupa

Za czasów pierwszego PiS (2005–2007) głośne projekty, które miały stworzyć nowy wizerunek Polski za granicą, prowadzili Paweł Kowal i Elżbieta Jakubiak. Oboje wywodzili się ze środowiska bliskich współpracowników Lecha Kaczyńskiego z czasów jego prezydentury w Warszawie. Sukces wizerunkowy i frekwencyjny otwartego w 2004 r. Muzeum Powstania Warszawskiego (w którego powstanie oboje byli zaangażowani) stał się matrycą dla działań promocyjnych kraju.

Kowal jako sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych komenderował reorganizacją polskiej dyplomacji kulturalnej i publicznej. Razem z Jakubiak starali się wykreować nowoczesny język polskiej narracji. Powstawały historyczne komiksy, filmy o Pileckim czy Janie Karskim, co miało zerwać z wizerunkiem Polski jako kraju posługującego się zapleśniałą martyrologią. Efekt był wręcz przeciwny: zamiast promować Polskę jako kraj dynamiczny i zorientowany na przyszłość, Kowal i Jakubiak zbudowali za granicą wizerunek państwa wiecznych ofiar, uwięzionego w traumach przeszłości i żądającego zadośćuczynienia. Przy okazji zaostrzyli stosunki z Federacją Rosyjską i wywołali okresowe ochłodzenie linii Warszawa–Berlin.

Za czasów pierwszej Platformy, Stowarzyszenie Komunikacji Marketingowej i Krajowa Izba Gospodarcza podjęły próbę stworzenia spójnego brandingu w postaci narodowego logotypu. Umowę na opracowanie nowej strategii wizerunkowej podpisano z Wallym Olinsem, brytyjskim specjalistą od brandingu. Wymyślone przez niego logo, oparta na koncepcji „twórczego napięcia" sprężyna, kosztowała 220 tys. euro. Pieniądze pochodziły ze zbiórki zorganizowanej wśród przedsiębiorstw zrzeszonych w polskich organizacjach biznesowych. Pracę rekomendowała ówczesna Rada Promocji Polski – zrzeszony przy rządzie organ, w skład którego wchodzili przedstawiciele MSZ, Ministerstwa Gospodarki oraz Ministerstwa Sportu i Turystyki. Odbiór społeczny sprężyny był tak katastrofalny, że rząd premierzycy Ewy Kopacz po cichu wstrzymał proces wdrażania koncepcji. Chwilę później wybory wygrało PiS, projekt trafił do kubła, żeby powrócić do tradycyjnej symboliki narodowej.

W 2016 r. pisowcy zebrali 17 spółek z udziałem skarbu państwa i ulepili Polską Fundację Narodową. Oficjalnie miała promować wizerunek Polski za granicą i wspierać gospodarkę. Wyszło jak zwykle. Spółki złożyły się na kapitał założycielski, a potem corocznie wpłacały grube miliony na jej konto. Przez lata PFN dysponowała kwotą kilkuset milionów złotych. Fundacja kupiła za granicą luksusowy oceaniczny jacht regatowy (za ponad milion euro), który miał pływać pod polską banderą dookoła świata w celu promocji 100-lecia niepodległości. Projekt zaliczył pasmo wpadek. Najpierw gnił przez miesiące w amerykańskim porcie z powodu awarii masztu, później zmieniano jego koncepcję, a koszty utrzymania załogi i jednostki pochłonęły kolejne miliony.

Był też kontrakt z amerykańską firmą piarowską White House Writers Group. PFN zabuliła miliony dolków za promowanie Polski w USA. Efekty okazały się żadne. W ramach gigantycznego budżetu agencja organizowała m.in. spotkania, które wszyscy mieli w dupach, lub zakładała profile w social mediach z kilkunastoma obserwującymi. PFN spłodziła też kampanię billboardową „Sprawiedliwe sądy", która promowała nie Polskę, a PiS.

Strategia powielania

Czy Donald Tusk przestrzelił z wyborem Barbary Mróz-Gorgoń na piarowy stołek? Sama funkcja była potrzebna i wszędzie zdarzają się wpadki. Problemem w przypadku think tanku Marka Polska nie jest wbrew pozorom tylko publikacja roboczej wersji raportu, który wisiał radośnie na stronie od miesięcy. Jest nim brak umiejętności radzenia sobie z kryzysem. Kto, jeśli nie specjalistka od wizerunku, powinien wiedzieć, jak rozbrajać takie bomby? Głupio wyszło…

Wąskim gardłem polskich prób brandingu narodowego poza – powiedzmy – ekspercką koncepcją jakości, była zawsze wola polityczna do wdrożenia i sfinansowania jej w perspektywie dekady, niezależnie od kolejnych wyborów. Budowanie marki narodowej to proces na 10–20 lat. Kadencja rządu trwa znacznie krócej, co sprzyja szukaniu szybkich, widowiskowych efektów zamiast długofalowej strategii. Najczęściej ze smarkatym skutkiem. Dlatego mamy, co mamy: świeżą aferę i wojnę polsko-polską co kilka lat, nasze flagowe produkty narodowe.

IDALIA DUBICKA

Strach otwierać lodówkę

ABW wszędzie widzi Putina

Jacek Dobrzyński, rzecznik prasowy koordynatora ds. służb specjalnych Tomasz Siemoniaka, poleca ponownie jawną część raportu z dorobku ABW pod obecnymi rządami Donalda Tuska. Pierwszego takiego od czasów podobnego mu z 2014 r. Bo PiS, kiedy rządził, wychodził z logicznego skądinąd założenia, że tajne służby co do zasady powinny pozostać jak najbardziej tajne, a więc wstrzemięźliwe w mówieniu o sobie czegokolwiek.

Zachwyt terroryzmem

„Radykalizacja młodzieży i ich zachwyt terroryzmem to naprawdę duży problem. Pierwsze niepokojące sygnały najszybciej mogą odczytać najbliżsi – rodzice, przyjaciele, znajomi" – to zdanie z posta na profilu rzecznika na platformie X ma spowodować kolejną falę pobrań raportu. Po tej pierwszej, sprzed kilku miesięcy, zaraz po publikacji na witrynie internetowej ABW.

Dowcip polega na tym, że ten temat w publikacji jest potraktowany marginalnie, z buta i na odczepnego, gdyż jej clou stanowi i tak Rosja wszechobecna w dywersji i szpionażu, a nie żadna tam polska gówniarzeria z predylekcją do „celtyka" i na drugim biegunie do Czerwonych Brygad czy Państwa Islamskiego. Udowodnić to bardzo łatwo.

Pułkownik Syrysko melduje

Wstęp w raporcie jest oczywiście autorstwa szefa ABW płk. Rafała Syrysko. Pułkownik chwali się tym, że za jego obecnej kadencji odtworzono 10 mniejszych delegatur zlikwidowanych przez PiS, a więc siatka kontrwywiadowców znacznie zgęstniała. Poszła za tym większa kasa do agencji, a więc i większa zdolność do rozpoznawania wroga zewnętrznego, jak i tego rodzimego, który psuje państwo na odcinku gospodarczym od wewnątrz (korupcja).

Ale „najważniejszym wyzwaniem pozostaje aktywność dywersyjna wymierzona w Polskę, inspirowana i organizowana przez rosyjskie służby specjalne" – melduje Syrysko i chwali się: „To zagrożenie było (i jest) realne i bezpośrednie. Wymaga pełnej mobilizacji. Dzięki determinacji, profesjonalizmowi i zaangażowaniu funkcjonariuszy ABW udało się zapobiec licznym aktom dywersji wymierzonym w obiekty wojskowe, infrastrukturę krytyczną, obiekty użyteczności publicznej oraz miejsca związane z organizacją wsparcia dla walczącej Ukrainy".

Syrysko w tym ostatnim zdaniu ma pewnie na myśli nie tylko słynną Jasionkę, dokąd przewoźnicy z certyfikatem służb zwożą nieprzerwanym strumieniem broń od Jankesów i Europy dla Sił

eprasa.pl 416a806190

Nicht für Deutschland

Dlaczego nikt nas nie lubi

„Rosja atakuje Tuska” – doniosła z dumą „Gazeta Wyborcza” na pierwszej stronie swego papierowego wydania. W necie było jeszcze lepiej: „Rosja z furią atakuje Tuska za obronę sabotażystów Nord Stream”.

Pomijając już fakt, iż „Rosja” rzadko coś mówi „z furią” – to specjalność naszych sygnalizatorów cnoty (żeby wspomnieć tylko zeszłotygodniowy „brudny bucior Putina” posła Treli) – to mam wrażenie, że „GW” nieco skręciła temat. Ten tekst tak naprawdę nie był o relacjach między Tuskiem i Rosją – tylko między Tuskiem i Niemcami.

Chorwackie ruskie onuce

Chodzi bowiem o komentarz premiera do zatrzymania w Chorwacji Wołodymyra Żurawlowa – Ukraińca, którego Niemcy podejrzewają o wysadzenie Nord Stream i już raz prawie mieli w swoich rękach. Wtedy, kiedy – we wrześniu zeszłego roku – został na podstawie Europejskiego Nakazu Aresztowania zatrzymany w Polsce. Premier Tusk – w stylu dość zaskakującym u kogoś, kto doszedł do władzy pod hasłami niezależności i apolityczności sądownictwa – powiedział sędziom, co mają zrobić: „W interesie Polski i w interesie zwykłego poczucia przyzwoitości i sprawiedliwości na pewno nie jest oskarżanie albo wydawanie tego obywatela w ręce innego państwa”… Sędzia Dariusz Łubowski wykonał zalecenie premiera, dodając od siebie kilka zdań o „krwawej i ludobójczej napaści Rosji na Ukrainę” oraz o tym, że „zbrojna misja zniszczenia rurociągów wroga” była „uzasadniona, racjonalna i sprawiedliwa”.

Po komplementach polskiego sądu i premiera Ukrainiec poczuł się na tyle pewnie, że pojechał do Chorwacji, gdzie podejście do konfliktu Rosja–Ukraina jest znacznie bardziej zniuansowane niż nasza wzniosła rusofobia, a pomiędzy rządem i prezydentem trwa otwarty konflikt na tym tle: premier Andrej Plenković nazywa prezydenta Zorana Milanovića „rosyjskim funkcjonariuszem”, a Milanović Plenkovića „ukraińskim agentem”.

Żeby było zupełnie śmiesznie: jak donosi niemiecki portal LTO.de, Żurawlow pojechał do Chorwacji na plan filmu „Wyspa węży”, który ma opowiadać o wysadzeniu Nord Stream, w hollywoodzkim stylu, z udziałem Seana Penna i Adriena Brody’ego, w reżyserii Douga Limana znanego z „Tożsamości Bourne’a”. Co może podważać wiarygodność zapewnień p. Żurawlowa, że nie miał z wysadzeniem nic wspólnego i w ogóle był wtedy na Ukrainie. Ale to na marginesie.

Chorwacja – zgodnie z praktyką ENA, opierającą się na wzajemnym zaufaniu między państwami UE – zapowiedziała wydanie ściganego Federalnemu Trybunałowi Sprawiedliwości w Karlsruhe. Co w zasadzie nie powinno nas dotyczyć. Ani Wołodymyr Żurawlow nie jest obywatelem Polski, ani nie został w Polsce zatrzymany, ani Polska nie ma nic do gadania w sprawie jego dalszego losu. Jeśli facet jest na tyle arogancki, żeby se jeździć po Europie, mając ENA na karku – sam sobie zgotował ten los.

Atoli premier RP postanowił zająć stanowisko w tej sprawie, ponownie pouczając Niemców, że powinni się wstydzić: „Niemcy na pewno nie powinni ścigać tych, którzy w sytuacji, gdy ich kraj został zaatakowany, podejmowali takie lub inne działania. W tej sprawie nie zmienię zdania i uważam, że wstydzić powinni się ci, którzy zbudowali ten gazociąg, a nie ci, którzy go wyłączyli”…

Odkładając niewymuszony wdzięk eufemizmu „wyłączyli”: ten dziwaczny występ Tuska wpisuje się w obowiązującą w Polsce narrację o tym, jak to Niemcy skompromitowały się współpracą z Rosją – której Nord Stream miał być szczytowym osiągnięciem – i jak teraz muszą się rehabilitować.

Wojna nieniemiecka

Kłopot w tym, że Niemcy wcale tak nie sądzą. I nie mam na myśli mainstreamowej klasy politycznej, równie oczadziałej bojowo jak nasza – ale wyborców. Którzy pamiętają, że kwitnąca od 1990 r. współpraca z Federacją Rosyjską przyniosła im – a przy okazji całej Europie – najlepsze ćwierćwiecze w historii: taniej energii, dynamicznego rozwoju, pokoju i bezpieczeństwa. Sankcje i zerwanie tej współpracy wepchnęły niemiecką gospodarkę w recesję. I to jest ten element sukcesu Alternatywy dla Niemiec, który w Polsce pozostaje strategicznie przemilczany: wyborcy zwracają się do populistycznej prawicy nie z faszystowskiego przebudzenia, ale z powodu lęku przed jutrem – degradacją miejsc pracy, bezrobociem, utratą środków do życia.

AfD odpowiada na te lęki tak jak zawsze populistyczna prawica, pokazując palcem imigrantów jako tych, co odbierają „prawdziwym Niemcom” miejsca pracy – ale mówi też o powrocie do współpracy z Rosją, zniesieniu sankcji, odzyskaniu tanich źródeł energii. Mówi też to, co coraz więcej Niemców myśli: „to nie jest nasza wojna”. W sondażu zrobionym dla „Politico” pod koniec zeszłego roku 46 proc. Niemców chciało zmniejszenia finansowej pomocy dla Ukrainy – w tym 32 proc. „znacznego zmniejszenia”; zwiększać ją chciało tylko 21 proc. Jeśli chodzi o pomoc militarną, 26 proc. było za zwiększeniem, a 39 – przeciw. Zmęczenie pomocą dla Ukrainy przekłada się – całkiem jak u nas – na niechęć do uchodźców: według sondażu INSA dla „Bilda” 66 proc. Niemców jest przeciw dawaniu Ukraińcom Bürgergeld, czyli dochodu obywatelskiego przysługującego bezrobotnym, niezdolnym do pracy i najmniej zarabiającym. 62 proc. uważa, że Ukraińcy zdolni do walki powinni powrócić na Ukrainę.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Z drugiej strony, o ile wielkie firmy niemieckie, pilnie obserwowane przez władze i media, wycofały się z rosyjskiego rynku – firmy średnie przyczaiły się i czekają na lepsze czasy. W Rosji nadal działa około 1600 niemieckich biznesów.

W sumie: nastroje w Niemczech zauważalnie odbiegają od postawy kanclerza Merza, który w swoim przesłaniu z okazji 35. rocznicy niepodległości Ukrainy deklarował: „Stoimy twardo po stronie Ukrainy”. Może Merz stoi twardo przy Ukrainie, ale Niemcy nie stoją twardo przy Merzu: jak w sierpniu doniosła sondażownia Forsa, jest on najbardziej niepopularnym kanclerzem w historii jej – prowadzonych od lat 80. – badań. 85 proc. obywateli jest niezadowolonych z jego pracy, przeciwnego zdania jest 13 proc. AfD od wiosny prowadzi w sondażach, a jej obecna przewaga nad CDU/CSU wynosi 8 punktów procentowych.

W tym kontekście nurtuje mnie następujące pytanie:

po cholerę Tusk wpierdala się między wódkę a zakąskę, krytykując interakcję między dwoma innymi państwami EU i ich wymiarami sprawiedliwości – kopiąc przy tym swego leżącego sojusznika?

Może po to, żeby ucieszyć „Gazetę Wyborczą”, która zdaje się z premiera bardzo dumna, kiedy donosi o „furii”, z jaką Rosja go jakoby atakuje?

Uczciwie powiedziawszy: radowanie się furią mocarstwa atomowego – które dodatkowo w oficjalnej polskiej wykładni uchodzi za niepoczytalne – nie jest postawą szczególnie odpowiedzialną. Jeśli Donald Tusk rzeczywiście wywołuje furię niepoczytalnego Putina – zapłaci za to nie on osobiście, ale my wszyscy.

Ale na szczęście wypowiedzi rosyjskich oficjeli na ten temat trudno uznać za przejaw „furii” – raczej zawoalowanej groźby, co jest tonem, do którego Rosja zdążyła nas już przyzwyczaić.

Niebezpieczne zawroty głowy

Rosyjski MSZ ustami rzecznicz-ki Zacharowej poczynił zauważenie, z którego przebijało wyraźne schadenfreude ukryte pod maską zatroskania o dobro wspólnoty międzynarodowej: „Publiczna wypowiedź szefa rządu dużego państwa europejskiego, usprawiedliwiająca akt terroru popełniony na oczach całego świata, wysyła niszczycielski sygnał, który jak w reakcji łańcuchowej doprowadzić może ostatecznie do demontażu wszelkich ograniczeń, chroniących dotąd stosunki między państwami na kontynencie europejskim przed całkowitym stoczeniem się w stronę prawa dżungli”…

I na koniec Maria Zacharowa wygłosiła diagnozę, która zdaje się nieprzyjemnie trafna: „W kontekście polsko-niemieckiego sporu sytuacja wokół Nord Stream przynosi Niemcom same straty polityczne i gospodarcze. A Warszawie – niebezpieczne zawroty głowy”.

Jakkolwiek słuchanie opinii Marii Zacharowej może w Polsce uchodzić za zdradę stanu, warto być może zdać sobie sprawę z tego, jaka naprawdę jest pozycja naszego kraju – definiowana przez fakty, a nie przez gromkie okrzyki władzy.

Polska jest systematycznie pomijana przy spotkaniach, na których możni Zachodu debatują o przyszłości Ukrainy i zakończeniu wojny.

W Berlinie w październiku 2024 r. – na spotkaniu organizowanym przez ówczesnego kanclerza Niemiec. To akurat mogło być dobrym znakiem, bo większość liderów, którzy wzięli w nim udział – Joe Biden, Olaf Scholz i Keir Starmer – zleciało od tego czasu ze stołka, ostał się tylko Emmanuel Macron. Warto też odnotować, że – poza Polską – na te rozmowy nie została zaproszona także Ukraina. Z drugiej strony: my zostaliśmy wykluczeni podwójnie, bo także przez prezydenta Zełenskiego, który nie udostępnił Polsce tajnych załączników do „planu zwycięstwa”, tłumacząc, że kraje, „które nie pomagają Ukrainie w wojnie obronnej z Rosją, np. są przeciwne wspieraniu jej uzbrojeniem” ich nie dostaną, bo „po co”.

W Waszyngtonie w sierpniu 2025 r. – na szczycie po spotkaniu Trumpa z Putinem na Alasce. Trump zaprosił liderów Ukrainy, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Włoch i Finlandii, szefową Komisji Europejskiej i sekretarza generalnego NATO.

W Londynie w grudniu 2025 r. – gdzie z inicjatywy prezydenta Macrona spotkali się premier Starmer, kanclerz Merz i prezydent Zełenski, żeby gadać o – jak donosiły media – „amerykańskich naciskach na zakończenie wojny”.

W Paryżu w lipcu 2026 r. – Dania, Francja, Niemcy, Włochy, Norwegia, Hiszpania, Szwecja, Wielka Brytania, Holandia i Ukraina zawiązały Antybalistyczną Koalicję Rakietową, w której też nie znalazła się Polska. Donald Tusk wyjaśniał wówczas, że „mamy do czynienia z koalicją o charakterze przemysłowym” i nasza nieobecność wynika jedynie z odmiennego profilu produkcji polskiego przemysłu zbrojeniowego. Ponoć PZB już pracuje nad ofertą…

Polska nie jest „mocarstwem”, a Donald Tusk nie jest „podziwiany w świecie” – podobnie zresztą jak Karol Nawrocki. Jesteśmy średniej wielkości krajem z absurdalnie rozdętymi wydatkami zbrojeniowymi – i analogicznym do nich ego. Wojna na Ukrainie wcześniej czy później się skończy – a kolektywny Zachód będzie się musiał na nowo nauczyć żyć z Rosją za miedzą. Polscy przywódcy z obu stron barykady robią wszystko, żeby udowodnić światu, że tego nie rozumieją.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Zbrojnych Ukrainy. Ale być może również coraz bardziej znikające punkty doraźnego wsparcia dla migrantów z Ukrainy i ośrodki dla uchodźców, jak ten ostatnio flekowany publicznie przez podlaskich pisowców w gminie Wasilków. Że niby tamci starcy, dzieci i kaleki uciekające od rosyjskich bombardowań po 2022 r. to sprytny test Tuska na otwartość narodu na pakt migracyjny. Że jak Ukraińcy z Wasilkowa opuszczą nasze gościnne progi, to w gminie pojawią się „ciapaci”, którzy rozleją się masowo na całe województwo. To koncept posła Sebastiana Łukaszewicza, który pozostał póki co wierny Kaczyńskiemu i wypiął się, jak cała reszta podlaskich parlamentarzystów PiS, na Morawieckiego i jego Rozwój Plus.

Telegram zamiast siatki

No więc mamy w raporcie tego rosyjskiego dywersanta. Nie wygląda już koniecznie jak Rasputin w płaszczu z walizką pełną trotylu. Może wyglądać jak ktoś, kto siedzi na Telegramie i szuka sposobu na szybki zarobek. ABW w swoim raporcie opisuje bowiem całkiem współczesny model rosyjskiej roboty – ale przecież też, nie ukrywajmy, ukraińskiej. Sekwencja prezentuje się w dużym skrócie tak: „ogłoszenie w internecie”, „obietnica łatwej kasy”, „zadanie do wykonania” i „zapłata w kryptowalucie”.

I tak oto klasyczny agent wpływu spotkał się z ekonomią platformową. Państwo rosyjskie najwyraźniej odkryło więc, że zamiast mozolnie budować w Polsce wieloletnią siatkę agenturalną, można wejść do internetu i znaleźć człowieka, który za odpowiednią liczbę bitcoinów zrobi zdjęcie obiektu, podpali coś albo pojedzie sprawdzić, czy pociąg stoi tam, gdzie powinien. W raporcie ABW ten proces nazwano zresztą profesjonalizacją rosyjskich działań dywersyjnych. Czyli nie ma już nawet potrzeby werbowania porządnego szpiega. Wystarczy klient z Telegrama, konto w krypto i odpowiednio głupi człowiek po drugiej stronie. Postęp techniczny pełną gębą.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

ABW odpowiada botem

A skoro wróg przeniósł się do internetu, to i kontrwywiad nie zamierza zostać przy papierowym kwestionariuszu i telefonie. W 2025 r. ABW uruchomiła na Telegramie własnego chatbota @ABW_STOPdywersji_bot, który ma umożliwiać zgłaszanie kontaktów z obcymi służbami, w szczególności – propozycji udziału w dywersji czy rozpoznawaniu obiektów. Obsługuje kilka języków, w tym polski, angielski, ukraiński i rosyjski.

I to jest chyba najładniejszy obrazek z całego raportu. Rosyjskie służby specjalne werbują ludzi przez Telegram, a polski kontrwywiad uruchamia na Telegramie bota, żeby tych ludzi przed rosyjskimi służbami ostrzegać. Wojna hybrydowa w wersji dla pokolenia smartfona. Jeszcze chwila i FSB będzie prowadziło rekrutację przez aplikację randkową, a ABW odpowie kampanią „Zanim swipeniesz na Tinderze, sprawdź, czy ten poprzedni to nie był przypadkiem przystojny rosyjski agent”.

Rosjanin, Białorusin i chiński przedsiębiorca

Raport odnotowuje również aktywność służb białoruskich, dla których Polska pozostaje priorytetowym kierunkiem operacyjnym. Mińsk ma interesować się przede wszystkim białoruską opozycją przebywającą w Polsce, ale również prowadzić rozpoznanie obiektów wojskowych, infrastruktury krytycznej oraz próbować werbować obywateli polskich podróżujących na Białoruś. Czyli nawet gdy człowiek myśli, że jedzie do Brześcia po tanią wódkę i papierosy, może się okazać, że wraca już jako element operacji specjalnej białoruskiego wywiadu.

A potem nagle do akcji wkracza Chińczyk, ale ten jest znacznie bardziej finezyjny, bo zamiast wysadzać tory, to – jak wynika z raportu – szczególną wagę przywiązuje do ekspansji ekonomicznej. I tu zaczyna się ten rodzaj kontrwywiadowczej opowieści, w której wróg nie musi nawet wiedzieć, że jest wrogiem, a przedsiębiorca nie musi wiedzieć, że jego kontrahent interesuje się czymś więcej niż fakturą i terminem dostawy.

Współczesne państwo musi więc pilnować nie tylko tego, kto fotografuje wojskowy płot, ale również tego, kto z kim podpisuje umowę, kto kupuje technologię i kto właśnie zainteresował się gospodarką bardziej, niż wynikałoby to z czystej miłości do wolnego rynku.

Zawodnik numer jeden

Ale oczywiście raport nie pozostawia większych wątpliwości, kto jest tutaj zawodnikiem numer jeden. Rosyjskie służby mają prowadzić przeciwko Polsce działania nastawione na „dyskredytowanie państwa, podważanie zaufania do jego instytucji, budowanie prorosyjskiej narracji, podsycanie nastrojów antysystemowych, antyeuropejskich i antynatowskich, a także wykorzystywanie antagonizmów polsko-ukraińskich”.

I chyba właśnie dlatego ten dokument jest ciekawszy między wierszami niż w samych laurkowych fragmentach. Bo im bardziej ABW chwali się tym, że odbudowała terenową strukturę, zwiększyła budżet, uczestniczyła w zabezpieczeniu wielkiej wymiany więźniów i rozpracowywała rosyjskich oraz białoruskich agentów, tym bardziej czytelnik może sobie zadać pytanie, ile jeszcze takich rzeczy dzieje się poza tymi kilkudziesięcioma stronami, których państwo zdecydowało się nie pokazywać.

JMP

eprasa.pl 416a806190

Koniec okresu ochronnego

Obywatelska inicjatywa zmiany prawa łowieckiego

Gdyby to ode mnie zależało, to wszyscy myśliwi siedzieliby w ciemnym i wilgotnym lochu o chlebie i wodzie. Ale nie zależy, więc na razie muszę się zadowolić podjętą właśnie próbą zmiany prawa łowieckiego. Ruszyła obywatelska inicjatywa ustawodawcza pod hasłem „UWAGA! Polowanie. Zmieńmy prawo łowieckie. Na dobre". Obecnie trwa zbieranie podpisów – żeby projekt nowelizacji mógł zostać wniesiony do sejmu, trzeba ich zebrać 100 tys. Nie jest to więc zwykła petycja ani kampania społeczna, lecz próba realnej zmiany obowiązujących przepisów. Próba dość zachowawcza – dodajmy – jednak chyba tylko taka ma obecnie szanse na poważne potraktowanie przez parlament.

Polski Związek Łowiecki liczy ok. 131 tys. członków zrzeszonych w blisko 2800 kołach łowieckich. Jak na tak nieliczną grupę – zaledwie 0,35 proc. ogółu społeczeństwa – ma bardzo silne poparcie polityczne, głównie za sprawą myśliwych i ich kolegów zasiadających na Wiejskiej. Tworzą oni swego rodzaju ponadpartyjną sieć łowiecką, w której znajdziemy parlamentarzystów wielu opcji politycznych. Jeżeli dodamy do tego fakt, że obecnym łowczym krajowym (szefem PZŁ) jest były senator i poseł z PSL-u Eugeniusz Grzeszczak – powołany na to stanowisko przez ministrzycę klimatu i środowiska Paulinę Henning-Kloskę (Unia Centrum) – to mamy pełny obraz tego, jak bardzo to środowisko zrośnięte jest z polityką. W dodatku jest zwarte, zorganizowane i silne.

Przeciwko niemu staje rozproszona i niejednorodna inicjatywa obywatelska. Ale wśród tych, którzy udzielili jej poparcia, też można znaleźć nazwiska znane i szacowne, reprezentujące głównie świat kultury, prawa, nauki i mediów, jak choćby prof. Andrzej Elżanowski, Maja Ostaszewska, Agnieszka Holland, Olga Tokarczuk, Jacek Poniedziałek, Magdalena Popławska, dr Dorota Sumińska, dr Hanna Machińska, prof. Magdalena Środa, dr Katarzyna Kasia, Mariusz Szczygieł… Czy to wystarczy, by znalazła ona uznanie w oczach polityków? Warto uzmysłowić sobie, że nie jest to tylko inicjatywa grupki zapaleńców opętanych bambizmem, względnie innymi rodzajami afektu wobec zwierząt dzikich.

W zasadzie powinien ją poprzeć każdy, kto w jakikolwiek sposób może czuć się zagrożony przez myśliwych. A może każdy, kto ma jakąkolwiek nieruchomość na terenie obwodu łowieckiego, czy też każdy, kto chce wejść do lasu.

Siła inicjatywy polega na tym, że reprezentuje ona większość społeczeństwa, a nie elitarne grono hobbystów narzucających swoje dziwaczne obyczaje ogółowi.

Projekt nie zakłada likwidacji łowiectwa. Jego celem jest przede wszystkim zmiana zasad, na jakich funkcjonuje ono w Polsce. Autorzy inicjatywy wskazują, że obecna ustawa powstawała w zupełnie innych realiach społecznych i wymaga dostosowania do współczesnych oczekiwań dotyczących bezpieczeństwa, ochrony przyrody oraz praw właścicieli nieruchomości.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Wśród najważniejszych propozycji znalazło się zwiększenie bezpieczeństwa osób mieszkających w pobliżu terenów łowieckich. Projekt przewiduje m.in., że polowanie będzie można wykonywać w odległości nie mniejszej niż 700 m od budynków mieszkalnych – obecnie wynosi ona 150 m. Biorąc pod uwagę, że taki 700-metrowy bufor będzie miał kształt koła, to mówimy o ponad 20-krotnym zwiększeniu obszaru wokół domu, na którym wykonywanie polowania będzie zabronione.

Ważnym elementem jest również większa jawność: publicznie dostępne miałyby być informacje o planowanych polowaniach, planach łowieckich i odstrzałach, a także sprawozdania finansowe Polskiego Związku Łowieckiego i kół łowieckich. Nowelizacja ma także wzmocnić prawa właścicieli gruntów. Jednym z postulatów jest uproszczenie procedury wyłączenia prywatnej nieruchomości z obwodu łowieckiego oraz ograniczenie możliwości ustawiania ambon na cudzym terenie bez zgody właściciela.

Autorzy chcą ograniczyć niektóre komercyjne formy polowań, polowania z nagonkami, hodowle zwierząt przeznaczonych do zastrzelenia, a także zwiększyć państwowy i społeczny nadzór nad działalnością Polskiego Związku Łowieckiego.

Choć inicjatywę popierają przedstawiciele środowisk naukowych, prawniczych, kulturalnych i medialnych, Polski Związek Łowiecki zapowiada krytyczną analizę projektu, wskazując na możliwe skutki dla gospodarki łowieckiej i jej dotychczasowego modelu funkcjonowania. Niezależnie od tego, czy projekt ostatecznie stanie się ustawą, sama obywatelska inicjatywa jest ważnym sygnałem, że coraz więcej osób nie godzi się na to, jak wygląda łowiectwo w Polsce XXI w.

Inicjatywę można wesprzeć na stronie: uwagapolowanie.pl.

EDYTA BAKER

SŁOWO CZERWONE

Co zrobić z niereprezentatywną demokracją przedstawicielską?

Oddolnie

Wkrótce wyjdziemy na ulice zbierać podpisy pod społecznym projektem nowelizacji przepisów, które regulują kwestię prawa do strajku. Dziś przepisy są tak restrykcyjne, jak gdyby nikt nie odwołał stanu wojennego. Strajkować można w praktyce tylko w dużych firmach i tylko o pieniądze. Całkiem zakazano strajków solidarnościowych i pozbawiono pracowników zapłaty za czas strajku. Ustawodawca spiętrzył przed pracownikami tyle przeszkód, że zorganizowanie legalnego strajku graniczy z cudem. Choć skądinąd wiadomo, że zwycięzców nikt nie sądzi i zwycięski strajk dyktuje swoje własne warunki. Tyle że strajków Polsce prawie nie ma.

Walka o demokrację w latach 80. zaczęła się od strajku generalnego w obronie zwolnionej z pracy suwnicowej ze Stoczni Gdańskiej Anny Walentynowicz. Dziś strajk solidarnościowy jest zakazany. A przecież na tym właśnie polegała solidarność. Siła ruchu związkowego na tym polega.

W Wielkiej Brytanii jeden z najważniejszych związków zawodowych zrodził się ze strajku generalnego w obronie arbitralnie zwolnionego z pracy biletera. Tak powstał najpotężniejszy w XX w. syndykat transportowców.

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Sieć handlowa Dino zeszłej zimy zaoszczędziła na ogrzewaniu jakieś 8 mln zł. Inspekcja ukarała firmę grzywną w wysokości 8 tys. zł. W imieniu Konfederacji Pracy zrzeszonej w Ogólnopolskim Porozumieniu Związków Zawodowych interweniowała Katarzyna Kiwerska. W ramach sporu zbiorowego miała reprezentować załogę w negocjacjach z pracodawcą. W sklepie, gdzie była kierowniczką, temperatura momentami spadała do kilku stopni Celsjusza. Za sam fakt, że zgodziła się reprezentować załogę w negocjacjach z pracodawcą, zwolniono ją dyscyplinarnie z pracy. Funkcja związkowa powinna ją chronić przed zwolnieniem – tymczasem właśnie wykonywanie obowiązków związkowych stało się oficjalną przyczyną dyscyplinarnego zwolnienia.

Ten przypadek pokazuje, że nawet te nieliczne istniejące gwarancje prawne dla związków zawodowych są przez pracodawców lekceważone. Jedną z przeszkód w zorganizowaniu strajku w dużej sieci sklepów – takiej jak Dino, które składa się z 3300 sklepów – jest formalny wymóg zorganizowania referendum strajkowego. Zorganizowanie referendum w takiej liczbie sklepów jest praktycznie niemożliwe. Jeżeli przepisy nie zostaną zmienione, związki zawodowe nie mają możliwości ogłoszenia legalnego strajku.

Zebranie 100 tys. podpisów za przepisami, które odblokują możliwość strajkowania, to jeszcze nie zwycięstwo. Bo sejm nie musi tego uchwalić. Bo w sejmie prawie nie ma samych zainteresowanych: pracowników. Sejm składa się głównie z przedstawicieli interesu biznesu, a nie ludzi pracy. Dlatego kluczowe jest przekonanie opinii publicznej o konieczności takiej nowelizacji. Jeżeli posłowie stwierdzą, że nowelizacja jest popierana przez większość opinii publicznej, mogą ulec presji społecznej i zagłosować za.

Brak reprezentacji większości grup społecznych – zwłaszcza pracowników – w sejmie sprawia, że coraz częściej jesteśmy zmuszeni sięgać po instrumenty demokracji oddolnej. Również samorządy nie są reprezentatywne dla większości lokalnych społeczności. Dlatego zaczyna się proces odwoływania włodarzy samorządowych w trybie referendum, tak jak np. w Krakowie.

Organizatorzy takiego referendum w Warszawie zwrócili się do Ruchu Sprawiedliwości Społecznej o wsparcie ich inicjatywy w sprawie odwołania prezydenta Warszawy. Włodarz najbogatszego miasta w Polsce, którego popularność ucierpiała ostatnio dramatycznie w związku z aferą w Szpitalu Południowym, ma na sumieniu znacznie więcej. Jak choćby to, że prawie nie buduje mieszkań komunalnych – w odróżnieniu np. od Włocławka. Gdyby Warszawa budowała mieszkania komunalne proporcjonalnie do liczby mieszkańców w tempie Włocławka, w stolicy powstawałoby rocznie kilka tysięcy nowych lokali – zamiast kilkudziesięciu. W ostatnich w pełni opublikowanych rocznych zestawieniach regionalnych Warszawa notuje najwyższą bezwzględną liczbę eksmisji w kraju – 600 do 1100 rocznie – mimo że konstytucja stanowi, że władza publiczna powinna przeciwdziałać zjawisku bezdomności, a nie bezdomność generować. Nie brakuje nam więc powodów, aby przyłożyć rękę do odejścia Rafała Trzaskowskiego. Sęk w tym, że głównymi siłami politycznymi stojącymi za tym referendum są partie skrajnej prawicy. Nie możemy więc przystąpić do inicjatywy i wziąć udziału w zbieraniu podpisów.

Zwolennicy naszego zaangażowania przekonują, że nieważne z kim – ważne, że kierunek słuszny.

W dość zamierzchłej przeszłości mieszkańcy Ursynowa – którzy nie chcieli, żeby trasa szybkiego ruchu przebiegała przez ich dzielnicę, ale żeby biegła pod ziemią – zwrócili się do nas o pomoc w zorganizowaniu pikiety przed pałacem prezydenckim w tej sprawie. Pomogliśmy. Kiedy impreza się zaczęła, głos zabrał gość z Unii Polityki Realnej – ówczesnej partii Janusza Korwin-Mikkego. Po czym powiedział, że przekazuje mikrofon „wybitnemu działaczowi socjalistycznemu, Piotrowi Ikonowiczowi". Kiedy zabrałem głos, tuż za moimi plecami swój wielki transparent rozwinęli działacze Młodzieży Wszechpolskiej. Rezultat? Trasa biegnie tunelem pod Ursynowem. Ale to była inicjatywa lokalna: ludzie, których tyle dzieliło, połączyli siły w sprawie, która wśród mieszkańców Ursynowa głosujących zwykle na PO nie budziła wątpliwości.

Zgoda: szerokie inicjatywy społeczne idą w poprzek podziałów politycznych. Tylko że wtedy nie istniała jeszcze partia Grzegorza Brauna, który twierdzi, że nic takiego jak komory gazowe nie istniało.

Nawet tak szlachetny i pożyteczny zamiar jak pozbycie się Trzaskowskiego z warszawskiego ratusza nie uzasadnia podania ręki komuś takiemu.

Brak reprezentatywności zarówno sejmu, jak i samorządów sprawia, że obywatele sięgają po instrumenty demokracji bezpośredniej. Prawdziwa demokracja zacznie się jednak wtedy, gdy przedstawiciele klasy ludowej zaczną kandydować do sejmu i samorządu. Na razie musi nam wystarczyć referendum i społeczne projekty ustaw.

PIOTR IKONOWICZ

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Policja w swej nieskończonej gorliwości sprawdziła trzeźwość flisaków pienińskich przed wypłynięciem na Dunajec. Wynik tej łapanki jest zatrważający. Na 48 skontrolowanych zaledwie trzech miało w organizmie coś więcej niż górskie powietrze. To jawny upadek etosu, ostateczna kompromitacja zawodu i dowód na postępującą kastrację polskiej tradycji ludowej. Mandaty po 500 zł i zapowiedzi „dodatkowych konsekwencji" ze strony Związku Flisaków to gwóźdź do trumny regionalnej turystyki. Policja zapowiada dalsze kontrole, co niechybnie doprowadzi do tego, że flisacy zaczną nosić krawaty, pić herbatę z melisy i cytować regulaminy zamiast opowiadać turystom sprośne anegdoty.

▮ Prezydent Karol Nawrocki, postać o aparycji wykutego w granicie krawężnika, postanowił objąć polskie niemowlęta estetyczną kwarantanną. Podpisał nowelizację ustawy, która zakazuje żłobkom chwalenia się gębami swoich podopiecznych w celach reklamowych. Bachor w folderze musi być albo elementem większej całości, albo w ogóle ma go nie być. Oficjalny powód legislacyjnej sraczki: ochrona przed seksualizacją trzylatków. Trzeba mieć umysł przeżarty najgorszymi lękami sypialnianymi, żeby w widoku zasmarkanego berbecia w piaskownicy dopatrywać się pokusy cielesnej. To nie dzieci są problemem, tylko ustawodawcy, którzy w kojcu węszą dom publiczny. Jeśli ministerstwo twierdzi, że rodzice boją się o anonimowość swoich różowych kopii, to śpieszę donieść, że dla postronnego obserwatora każdy trzylatek wygląda jak skrzyżowanie ziemniaka z pierogiem i odróżnienie jednego od drugiego wymaga badań DNA, a nie ustawy. Skoro chronimy niemowlęta przed wzrokiem pedofilów, chrońmy dorosłych przed widokiem polityków. Zakazać wizerunku Nawrockiego w przestrzeni publicznej! Obawa, że ktoś mógłby zseksualizować prezydenta, doklejając jego twarz do osobnika spółkującego z krową, jest logiczna. Choć w tym układzie to krowa byłaby stroną poszkodowaną estetycznie, a autorytet urzędu doznałby uszczerbku, którego nie naprawi nawet najlepszy weterynarz.

▮ Łódź zajęła ostatnie miejsce w rankingu przyjazności dla kierowców. Średnia prędkość w centrum porównywana jest do tempa, w którym procesja z relikwiami wydaje się pościgiem policyjnym. Ranking jest jednak tendencyjny. Podczas gdy inne miasta wprowadzają ekologiczny apartheid, wpuszczając do centrów tylko posiadaczy aut za 300 tys. zł, Łódź pozostaje ostoją równości: tu w smrodzie spalin i bezruchu stoją wszyscy, od nędzarza w starym rzęchu po bogacza, któremu rowerzyści w obcisłych gaciach właśnie rysują lakier. To nie jest miasto nieprzyjazne! To miasto, które po prostu nie daje się nabrać na mit, że gdziekolwiek warto się śpieszyć.

▮ Miłosierny rząd ściął VAT na paliwa z 23 do 8 proc. To wywołało nową formę niemieckiej agresji. Tym razem od Zgorzelca po Świnoujście nie jadą czołgi, lecz kawalkada Volkswagenów spragnionych pol-

eprasa.pl 416a806190

Zasługi Berka dla ludzkości

Rząd się nie podzieli okruchami z pańskiego stołu

– System musi być bardziej sprawiedliwy, wspierać wzrost gospodarczy i polskie rodziny – powiedział minister finansów i gospodarki Andrzej Domański na niedawnej konferencji, gdzie wespół z Donaldem Tuskiem obwieścił zmiany w progresji podatkowej dla zarabiających powyżej dyszki miesięcznie. Jak dorzucił premier, chodzi o to, „aby w dwóch wymiarach ulżyć i pomóc (...) rosnącej klasie średniej". Miły gest. Tymczasem ten sam rząd po cichu postanowił zaoszczędzić na mniej zamożnej części społeczeństwa.

Komu nędzy?

Wiecie, jak Główny Urząd Statystyczny szacuje co roku zasięg zagrożenia biedą? Porównuje poziom wydatków gospodarstw domowych z trzema granicami: ubóstwa skrajnego, relatywnego i ustawowego.

Ubóstwo skrajne to minimum egzystencji szacowane przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych (IPiSS). Jest to tak zwany koszyk potrzeb, których zaspokojenia nie można (a przynajmniej nie powinno się) odkładać w czasie. Zejście do tego pułapu oznacza biologiczne zagrożenie życia i psychofizycznego rozwoju człowieka, mówiąc bardziej obrazowo: brak możliwości zakupu leków, żywności czy ogrzania lokalu, w którym się bytuje. W ubiegłym roku minimum egzystencji wyniosło 1021,67 zł miesięcznie dla jednoosobowego gospodarstwa osoby w wieku produkcyjnym i 3528,53 zł miesięcznie dla gospodarstwa dwojga dorosłych z dwójką dzieci, czyli 882 zł na osobę. Tych, którzy musieli przetrwać z takimi drobnymi w portfelu, w 2025 r. było w kraju cudu gospodarczego blisko 2 mln.

Granica zagrożenia ubóstwem relatywnym jest ustalana na poziomie 50 proc. średnich miesięcznych wydatków gospodarstw domowych w Polsce. Z grubsza rzecz ujmując, to brak możliwości życia na takim poziomie, jaki w danym kraju uważa się za standardowy. Niby człowiek ma co jeść, ale kupno biletu miesięcznego, nowych butów na zimę albo awaria pralki mogą wygenerować chęć uwiązania krawata z liny.

Dochodzimy wreszcie do ubóstwa ustawowego, które odpowiada kwotom kryteriów dochodowych określonych w ustawie o pomocy społecznej i od stycznia ubiegłego roku wynosi kolejno 1010 zł miesięcznie dla osoby samotnie gospodarującej i 823 zł na osobę w rodzinie. Jeśli je zestawić z minimum egzystencji, różnica jest groszowa, ale kluczowa, bo to progi ubóstwa ustawowego określają, do kogo państwo wyciągnie rękę.

Tym sposobem, mimo że ubóstwo skrajne dotyka 5,3 proc. populacji, według rządu poważnie bieduje tylko 2,6 proc. obywateli. Oznacza to, że blisko 980 tys. skrajnie ubogich osób nie kwalifikuje się do państwowej pomocy. Zjawisko nosi nazwę luki socjalnej.

Progi dochodowe waloryzowane są obecnie co trzy lata. Gdy próg ubóstwa skrajnego rośnie wraz z kosztami życia, widełki kwalifikujące do pomocy społecznej pozostają bez zmian i zwyczajnie nie nadążają za rzeczywistością gospodarczą. By to zmienić, już w 2024 r. Ministerstwo Rodziny Pracy i Polityki Społecznej pod przewodnictwem minister Agnieszki Dziemianowicz-Bąk przygotowało projekt corocznej waloryzacji nieszczęsnego progu dochodowego. W 2025 r. został nawet wpisany do priorytetów rządu, ale nie znalazł się w wykazie prac legislacyjnych. Raczej nieprędko się to zmieni.

Korekta niewygodnych

Na początku sierpnia ukazał się Raport z realizacji priorytetów rządu na II kwartał. Za jego kształt odpowiada minister do spraw nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu. Do 11 sierpnia ów ministerialny stołek ogrzewał Maciej Berek. Raporty szczegółowo monitorują stan realizacji 58 kluczowych priorytetów rządu podzielonych na cztery główne obszary: bezpieczeństwo, gospodarkę, usługi publiczne oraz cyfryzację. W III filarze „Sprawne państwo i wysoka jakość usług publicznych" wspomnianego raportu widnieje projekt P43: „Uporządkowanie systemu świadczeń społecznych". W opisie można przeczytać, że jest to proces „o kluczowym znaczeniu dla zapewnienia jego spójności, przejrzystości i efektywności" oraz że działanie to „wpisuje się w kierunki wyznaczone zarówno w dokumentach strategicznych Rzeczypospolitej Polskiej, jak i Unii Europejskiej" i tym podobne kocopoły. Problem w tym, że Komitet ds. Nadzoru podjął decyzję o wykurwieniu z treści priorytetu informacji związanych z projektem corocznej weryfikacji kryteriów dochodowych w pomocy społecznej. Mimo odmiennego stanowiska MRPiPS.

Łatwo to przeoczyć wśród festiwalu wylizywania sobie jaj przez rząd. „Wartość zamówień budowlanych w ramach inwestycji obronnych 1,7 mld zł", „128 zamontowanych magazynów energii", „412 mln faktur wystawionych w systemie KSEF" – wyłuszczają zawarte w raporcie grafiki. Ile miałaby kosztować reforma widełek finansowych dla biedoty? 700 mln zł rocznie. To luźno licząc, koszt wybudowania 14 km drogi ekspresowej. Jak wiadomo, obwodnica Pierdziszewa lepiej wygląda na plakacie wyborczym niż emeryt ze zrealizowaną receptą.

Obywatele selektywni

Brak waloryzacji progów ubóstwa i kryteriów pomocy społecznej wywołuje zjawisko zwane zimną progresją. Państwo nie musi oficjalnie obcinać budżetów ani zmieniać przepisów –

wzrost płac nominalnych i inflacja same abortują najuboższych z systemu wsparcia. Nawet kiedy dochodzi do paradoksu i oficjalne kryterium uprawniające do pomocy staje się niższe niż kwota potrzebna do biologicznego przetrwania.

Z perspektywy raportów rządowych liczba osób pobierających zasiłki maleje, co mogłoby sugerować, że społeczeństwu nie brak ptasiego mleka, a w rzeczywistości system pomocy społecznej przestaje zauważać najbardziej wrażliwą grupę przez archaiczne kryteria dochodowe. Przypomina się stary dowcip, żeby głodni zjedli bezdomnych, to problem rozwiąże się sam. To nie wszystko.

Polska nadal nie ratyfikowała Zrewidowanej Europejskiej Karty Społecznej. To podstawowy traktat Rady Europy dotyczący praw społecznych i ekonomicznych. Można powiedzieć, że stanowi odpowiednik Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, ale w sferze praw socjalnych. Gwarantuje takie frukty jak ochrona dzieci, młodzieży, seniorów i niepełnosprawnych, prawo sprawiedliwych warunków pracy, prawo do zabezpieczenia społecznego i pomocy społecznej oraz nowe (w wersji zrewidowanej) prawa: do ochrony przed ubóstwem i wykluczeniem społecznym (art. 30) i prawo do mieszkania (art. 31). Państwa wybierają, które postanowienia przyjmują jako wiążące, z minimalnymi wymogami ilościowymi. Nad wszystkim czuwa Europejski Komitet Praw Społecznych (ECSR) poprzez raporty krajowe i (dla państw, które glejt ratyfikowały) skargi zbiorowe.

Polska ratyfikowała oryginalną Europejską Kartę Społeczną z 1961 r. i przyjęła 58 z 72 jej paragrafów. Nową wersję ZEKS z 1996 r. podpisała w październiku 2005 r., ale do tej pory nie ratyfikowała. Olała też protokół umożliwiający skargi zbiorowe. O przyklepanie dokumentu zabiegali m.in. rzecznik praw dziecka, rzecznik praw obywatelskich i organizacje pozarządowe zajmujące się ubóstwem i mieszkalnictwem, niestety bezskutecznie. Dla porządku obrad warto dodać, że ratyfikacja nie oznacza automatycznego wprowadzenia nowych świadczeń, ale obliguje do rozpoczęcia konkretnych działań w tym zakresie i raportowania o ich postępach. Polska poprzez swoją bierność zwyczajnie uniemożliwia egzekwowanie standardów europejskich w tych obszarach. Dlaczego państwo leje na podstawowe obowiązki ochronne wobec obywateli?

To proste: najłatwiej wprowadzić cięcia tam, gdzie awantury nie będzie. Brak aktualizacji progów ubóstwa powoduje, że biedniejsi ubożeją jeszcze bardziej i tracą możliwość wyjścia ze spirali wykluczenia.

Różnice społeczne się zwiększają, rośnie obciążenie samorządów i organizacji pozarządowych, które próbują łatać dziurawy system. Nędza nie pasuje do narracji o sukcesie gospodarczym, jest dla 20. gospodarki świata za droga.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

skiej taniej benzyny. Różnica w cenie sięga 80–90 eurocentów na litrze, co sprawia, że statystyczny Hans, tankując 50 litrów, oszczędza około 34 euro na benzynie lub 27 na ropie do Diesla. Niemcy, znani z porządku i chorobliwej oszczędności, rzucili się na nasze dystrybutory z pasją, jakby od tego zależało przetrwanie ich rasy, napełniając przy okazji każdy wolny kanister. Program kończy się w datę wybitnie symboliczną – 1 września. Wtedy VAT wraca do 23 proc. To był wyrafinowany plan: najpierw zwabić sąsiadów zapachem okazji, a potem, dokładnie w rocznicę najazdu na Polskę, walnąć ich po kieszeni polską akcyzą. Jeśli to ma być ten zapowiadany odwet na Szkopach, to przyznaję – wyjątkowo złośliwy. Teraz to my trzymamy pistolet... ten od dystrybutora.

▮ Lubelska firma Trawena podpisała siedmioletni kontrakt na dostawy dla Bundeswehry. Będzie szyć „trudnopalne bluzy bojowe", czyli – mówiąc bez ogródek – bojową bieliznę dla niemieckiego żołnierza. To uroczy paradoks dziejowy. Powszechnie wiadomo, że rycerski Wehrmacht maszerował na Moskwę w eleganckich fasonach od Hugo Bossa, ale historia wstydliwie milczy o tym, kto dostarczał gacie i podkoszulki dla siepaczy III Rzeszy. Teraz tę lukę w germańskiej intymności wypełnią Polacy za kilkadziesiąt milionów euro.

▮ Komenda Wojewódzka Policji w Krakowie poczuła potężne pragnienie i zamówiła 312 tys. butelek wody. Jednak w przeciwieństwie do szarego obywatela, który musi uprawiać upokarzającą gimnastykę z pustym plastikiem, by odzyskać parę groszy kaucji, policja postanowiła być ponad to. Skorzysta z furtki w przepisach, która pozwala instytucjom kupować napoje poza systemem kaucyjnym. Tłumaczenie mundurowych jest rozczulające: przy 312 tys. butelek organizowanie zbiórki, magazynowanie i transport opakowań przerosłoby logistyczne moce krakowskiego garnizonu. Krótko mówiąc: policja nie ma głowy do śmieci, bo ma ważniejsze sprawy, na przykład pilnowanie, by to obywatel sumiennie te butelki zwracał. Mamy tu do czynienia z klasyczną oligarchiczną strukturą przywilejów. Państwo nakłada na poddanych obowiązki ekologiczne, czyniąc z nich darmowych sortowaczy odpadów, podczas gdy aparat władzy – od urzędów po komendy – wypina się na ekologię w imię własnej wygody.

▮ Sędzia Sądu Okręgowego w Szczecinie postanowił udowodnić, że prawo jest płynne, zwłaszcza po kilku głębszych. Policja zamiast zasalutować i odstawić dostojnika do domu, bezczelnie go zatrzymała na gorącym uczynku. W ciągu dwóch dni Sąd Najwyższy uchylił sędziemu immunitet, zawiesił w obowiązkach i obniżył wynagrodzenie o 50 proc. Zapytacie, jak teraz ufać policji i sądom? Odpowiadam: tak samo jak wcześniej, czyli wcale. Zaufanie do wymiaru sprawiedliwości to mit uprawiany przez profesorów prawa i wyjątkowo naiwnych maturzystów.

▮ W Zambrowie policja przerwała zasłużony odpoczynek 39-letniej obywatelce Ukrainy, która wybrała chodnik jako miejsce kontemplacji w stanie silnie wskazującym. Zamiast pozwolić kobiecie na pełną integrację z podłożem, funkcjonariusze zapragnęli uszczęśliwić ją wycieczką do izby wytrzeźwień. Niewiasta, broniąc swej suwerenności jak Zełenski Ukrainy, użyła jedynej dostępnej broni – zębów. Pogryziony policjant trafił aż do szpitala zakaźnego. Uważam, że pogryzienie to nie zbrodnia zasługującą na deportację. Przecież praca w policji to nie rurki z kremem. Kontakt z pijanym obywatelem czy to swojskim, czy przyjezdnym niesie ze sobą ryzyko bycia nadgryzionym.

▮ Wrocław, miasto rzekomo „zawsze polskie", a wcześniej podejrzanie niemieckie, przechodzi właśnie kolejną metamorfozę. Według danych GUS mieszka tam już 115,3 tys. obywateli Ukrainy, co stanowi 14,6 proc. ogółu mieszkańców. To absolutny rekord wśród miast wojewódzkich. W ciągu zaledwie roku liczba Ukraińców wzrosła z poziomu 104 tys., co dowodzi, że tempo zasiedlania Dolnego Śląska jest godne podziwu. Skoro ta populacja to niemal dwukrotność całej Kołomyi, propozycja nazwania Wrocławia Kołomyją Podwójną jest nadzwyczaj powściągliwa.

▮ Według mędrców z BNP Paribas i GUS, w latach 2015–2025 polski żołądek przeszedł kurację odchudzającą. Miesięczne spożycie żywności spadło z 32 do 28 kg na osobę, co daje spadek o 11,8 proc. Największe klęski odnotowały fundamenty naszej egzystencji. Margaryna zjechała o 49 proc. Cukier, biała śmierć, spadł o 40 proc. Ziemniaki, fundament polskości, odnotowały spadek o 36 proc., a pieczywo o 33. Polska odwraca się od ziemniaka i chleba, co dla wielu patriotów musi być ciosem boleśniejszym niż utrata suwerenności na rzecz Brukseli. W zamian za to rzuciliśmy się na luksusy, które kiedyś oglądaliśmy głównie w Pewexie. Spożycie serów i twarogów wzrosło o 33 proc., masła – o 31 proc., a owoców – o 10 proc. To, że jemy mniej wagowo, nie oznacza wcale, że naród głoduje. Nasze menu stało się bardziej kaloryczne, a mniej objętościowe. Chudniemy w kilogramach, by tyć w kaloriach.

▮ Rada Ministrów w przypływie optymizmu postanowiła, że od 1 stycznia Polska wzbogaci się o dwa nowe ośrodki światowej cywilizacji: Kobylą Górę i Kazimierz Biskupi. Obie miejscowości odzyskują prawa miejskie po wiekach wegetacji w stanie wiejskim – Kobyla Góra po 234 latach, a Kazimierz Biskupi po 156. Najwyraźniej półtora wieku to akurat tyle czasu, by zapomnieć, dlaczego kiedyś te prawa miejskie im odebrano, i uznać, że teraz na pewno pójdzie im lepiej. To wzruszające, jak polska prowincja łaknie prestiżu. Wystarczy zmiana pieczątki, by sołtys poczuł się burmistrzem. Polska rośnie w siłę, miasto po mieście, aż w końcu cały kraj stanie się jedną wielką, zurbanizowaną wsią, w której każdy kurnik będzie miał status ratusza, a każda krowa – zameldowanie w metropolii.

▮ W Lubartowie 23-letni wnuczek, najwyraźniej zniecierpliwiony tempem przemijania, postanowił zutylizować 93-letnią babcię przy pomocy kastetu. Młodzieniec wykazał się przy tym uczciwością – sam zadzwonił na policję, by pochwalić się „zabójstwem", choć seniorka, ku jego pechowi, przeżyła. W mieszkaniu znaleziono 80 gramów mefedronu i maczetę. To dowodzi, że chłopak był przygotowany na każdą ewentualność z wyjątkiem trzeźwego myślenia. Teraz grozi mu dożywocie, co w dobie morderczych cen mieszkań jest całkiem solidnym planem na przyszłość. Jak widać, mefedron w połączeniu z miłością rodzinną daje efekty, przy których bledną nawet najgorsze horrory.

▮ Małgorzata z krakowskich Bielan – groźna recydywistka, dopuściła się zbrodni niesłychanej: postanowiła nie zamarznąć we własnym domu z 1928 r. Straż miejska wkroczyła do akcji z urzędowym nakazem wygaszenia kominka opalanego drewnem. Następnie zaciągnięto emerytkę przed sąd. Państwo, które nie potrafi zapewnić obywatelowi godnej starości, z godną podziwu precyzją potrafi go za tę starość ukarać. 500 zł mandatu. Budowa państwa opresji idzie pełną parą, a dym z kominka na Bielanach to jedyny sygnał, jaki pozostał wolnemu człowiekowi, by wezwać pomoc przeciwko własnej władzy.

RJ

PS Powyższe informacje mogą, ale nie muszą mieć jakiegokolwiek związku z prawdą. Pochodzą od kolegów z terenu i redakcja nie ponosi za nie odpowiedzialności prawnej, moralnej ani towarzyskiej. Kto mimo tego uwierzy, czyni to na własną odpowiedzialność i niech potem nie mówi, że nie był ostrzegany.

eprasa.pl 416a806190

Kto kręci parlamentem?

Cyrk na sali, władza za drzwiami

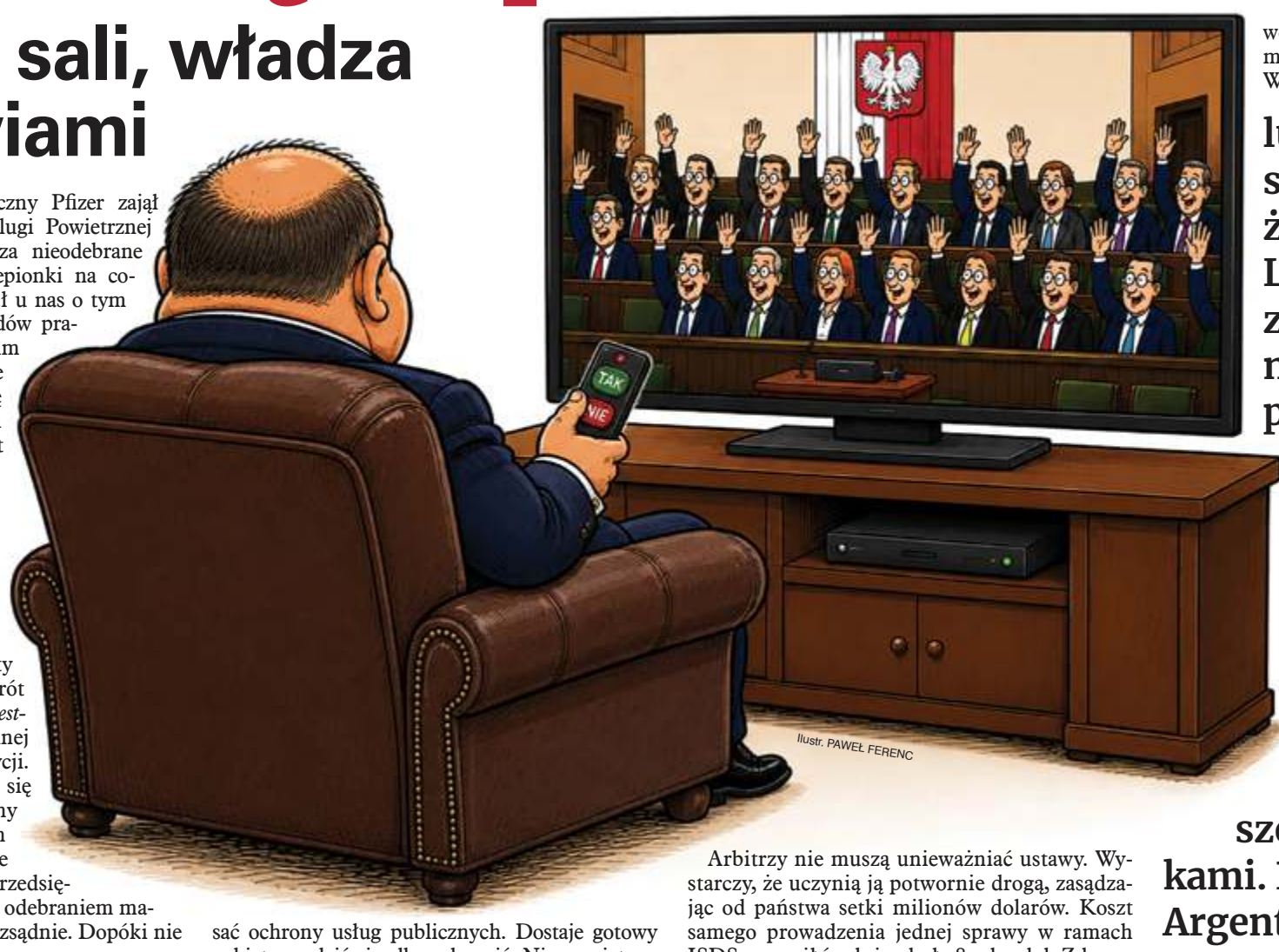

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Kiedy gigant farmaceutyczny Pfizer zajął konto Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej w ramach odszkodowania za nieodebrane przez państwo polskie szczepionki na covid, prof. Klementewicz pisał u nas o tym szczególnym wymiarze „rządów prawa", pozwalającym wielkim korporacjom doić suwerenne państwa, które ośmieliły się przeciwstawić ich interesom („NIE", nr 29/2026). Temat zasługuje na rozwinięcie.

Traktat z drobnym drukiem

Jednym z najważniejszych narzędzi cichej kontroli biznesu nad demokracją są BIT-y. Nie, nie bigbity ani bity od rapu. BIT to skrót od angielskiego *bilateral investment treaty*, czyli dwustronnej umowy o ochronie inwestycji. Dwa państwa zobowiązują się w niej do szczególnej ochrony inwestorów pochodzących z kraju partnera. Oficjalnie chodzi o zabezpieczenie przedsiębiorstwa przed samowolnym odebraniem majątku przez władzę. Brzmi rozsądnie. Dopóki nie zajrzy się do środka.

BIT-y jako międzynarodowe traktaty obrosły pojęciami tak elastycznymi, że można nimi opisać niemal każdą decyzję rządu: „sprawiedliwe i równe traktowanie", „uzasadnione oczekiwania inwestora", „wywłaszczenie pośrednie", „klauzula najwyższego uprzywilejowania". Za naruszenie traktatu może zostać uznana nie tylko brutalna nacjonalizacja fabryki. Podstawą roszczenia może stać się również przyszła zmiana prawa, przez którą spodziewany zysk inwestora przestanie być tak tłusty, jak sobie założył. Nowy podatek, ograniczenie szkodliwej produkcji, zaostrzenie norm środowiskowych, odebranie koncesji albo regulacja cen podstawowych usług – wszystko może zostać przedstawione jako zamach na prawa inwestora. Niejasność tych klauzul oraz ich wpływ na swobodę stanowienia prawa przez państwa są od lat przedmiotem sporów nawet w ramach Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju.

Procedura wygląda demokratycznie wyłącznie z daleka. Najpierw rząd ustala instrukcję negocjacyjną. Potem delegacje urzędników uzgadniają tekst, artykuł po artykule, zwykle poza wiedzą mediów i opinii publicznej. Następuje podpisanie umowy. Dopiero wtedy dokument trafia do parlamentu.

Sejm nie poprawia go jednak jak zwykłej ustawy. Nie może wykreślić niebezpiecznej klauzuli, ograniczyć odpowiedzialności państwa ani dopisać ochrony usług publicznych. Dostaje gotowy pakiet: zgodzić się albo odrzucić. Nie pamiętam, by sejm kiedykolwiek taki pakiet odrzucił.

Po ustawowej zgodzie parlamentu prezydent ratyfikuje umowę. Traktat staje się częścią polskiego porządku prawnego i wiąże również przyszłe rządy. Doświadczyłam tej procedury jako posłanka i wiem, że prawie nikt w sejmie nie ma pojęcia, za czym głosuje. To wiedza dla wtajemniczonych. Reszta podnosi ręce. I tak właśnie wygląda demokracja sprowadzona do funkcji notariusza kapitału.

Sąd dla kapitału

W środku pakietu często siedzi wspomniany przez prof. Klementewicza ISDS – Investor-State Dispute Settlement – czyli mechanizm rozstrzygania sporów między inwestorem a państwem. Państwo już w traktacie składa inwestorowi przyrzeczenie: jeżeli uznasz, że naruszyliśmy twoje prawa, możesz nas pozwać przed międzynarodowy arbitraż. Często bez wcześniejszego wyczerpania drogi przed krajowymi sądami.

Do konkretnej sprawy powstaje trzyosobowy trybunał arbitrażowy. Jednego arbitra wskazuje firma, drugiego państwo, a trzeciego dobierają wspólnie albo robi to wyznaczona instytucja. Czujesz, jak to wygląda? Nie ma zwykłej sądowej apelacji. Istnieją jedynie ograniczone możliwości podważenia orzeczenia.

Arbitrzy nie muszą unieważniać ustawy. Wystarczy, że uczynią ją potwornie drogą, zasądzając od państwa setki milionów dolarów. Koszt samego prowadzenia jednej sprawy w ramach ISDS wynosił średnio około 8 mlm dol. Zdarzały się postępowania, których koszty przekraczały 30 mln..

Konferencja Narodów Zjednoczonych do spraw Handlu i Rozwoju, znana pod angielskim skrótem UNCTAD, wylicza, że umowy BIT starego typu odpowiadają za 97 proc. wszystkich znanych spraw ISDS. Przeciętne żądanie inwestora sięga 1,1 mld dol., a przeciętne przyznane odszkodowanie, które ma zapłacić pozwane państwo, wynosi 385 mln dol. To już nie jest ochrona przed bandyckim wywłaszczeniem. To przemysł odszkodowawczy dla biznesu. Specjalna droga prawna zbudowana dla właścicieli kapitału. Nie dostaje jej pracownica zwolniona za działalność związkową. Nie dostają jej mieszkańcy zatruci przez fabrykę. Nie otrzymuje jej państwo oszukane przez koncern ani lokalny przedsiębiorca przegrywający z międzynarodowym molochem. Dostaje ją zagraniczny inwestor. Neoliberalizm nazywa to równością stron i warunkiem koniecznym dla funkcjonowania biznesu.

Smród, przemoc i miliardowe przelewy

Opowieść o BIT-ach i ISDS może brzmieć jak prawnicza teoria. Zobaczmy zatem, jak działa w praktyce.

Amerykański Azurix, spółka należąca do Enronu, uzyskał 30-letnią koncesję na dostarczanie wody i odbiór ścieków dla około 2,5 mln mieszkańców prowincji Buenos Aires. Wkrótce

ludzie zaczęli skarżyć się, że woda śmierdzi. Lokalne władze zalecały, aby jej nie pić. Potem przyszły przerwy w dostawach, zawyżone rachunki i kary nakładane na przedsiębiorstwo. Azurix porzucił koncesję, ale nie odszedł z pustymi rękami. Pozwał Argentynę,

twierdząc między innymi, że państwo nie pozwalało mu odpowiednio podnosić cen i nie finansowało infrastruktury publicznymi pieniędzmi. Trybunał nakazał Argentynie zapłacić 165,2 mln dol. plus odsetki.

Kapitał obiecał ludziom wodę, dostarczył smród i rachunki, po czym zażądał od nich pieniędzy za to, że interes się nie udał. Nie znalazłam natomiast informacji, by osoby, które ze strony państwa doprowadziły do podpisania takiego traktatu, zostały ukarane za niekorzystne zarządzanie publicznym majątkiem. Kto wie, czy nadal nie mają powodu do radości ze szczęśliwego życia?

Kanadyjska spółka Copper Mesa planowała odkrywkową kopalnię miedzi w ekwadorskim regionie Intag. Mieszkańcy bali się zniszczenia lasów, źródeł wody i własnych źródeł utrzymania, więc protestowali. Wtedy przeciwko nim pojawili się wynajęci przez spółkę uzbrojeni ludzie. Używali gazu łzawiącego i strzelali. Nie jest to oskarżenie wymyślone przez ekologicznych radykałów. Potwierdził to sam trybunał arbitrażowy, nazywając wydarzenia „lekkomyślną eskalacją przemocy". Arbitrzy uznali jednak, że Ekwador nie zrobił wystarczająco dużo, aby pomóc inwestorowi przeprowadzić projekt. Spółce przyznano prawie 20 mln dol. odszkodowania płatnego z kasy Ekwadoru. Koncern dostał pieniądze. Oto sprawiedliwe i równe traktowanie w wydaniu neoliberalnym.

Życie w dobrobycie

● Za naruszenia przepisów, których celem jest ochrona systemu finansowego przed wykorzystywaniem go do legalizowania pieniędzy pochodzących z przestępstw oraz do finansowania działalności terrorystycznej, można dostać karę wynoszącą zaledwie 5,1 mln zł. Dokładnie tyle Komisja Nadzoru Finansowego postanowiła wymierzyć BOŚ Bankowi. Kwota ta w świecie bankowości przypomina raczej koszt średniej kampanii reklamowej niż sankcję. Ba, największym akcjonariuszem BOŚ Banku jest Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, a więc państwowa instytucja. Chodzi więc o bank znajdujący się pod kontrolą państwa polskiego. Państwo stworzyło przepisy, powołało nadzór, kontroluje bank i nałożyło na ten bank karę. To nie koniec absurdu. Kontrola prowadzona była od 2019 do 2020 r., a sprawdzany okres obejmował czas od 2018 do 2020 r. Decyzja przekazana bankowi w lipcu 2026 r. odnosi się do wydarzeń sprzed ponad sześciu lat! Na dodatek ukarany przez państwo państwowy bank podkreśla, że nieprawidłowości zostały już usunięte, bo wdrożono działania naprawcze jeszcze przed wydaniem decyzji przez komisję. Sam komunikat KNF to też kuriozum. Wiadomo jedynie, że chodzi o naruszenie obowiązków wynikających z ustawy o przeciwdziałaniu praniu pieniędzy oraz finansowaniu terroryzmu. Nie wiadomo, co konkretnie naruszono ani jaka była skala uchybień. Są za to bardzo mocne zarzuty – „pranie pieniędzy" oraz „finansowanie terroryzmu" – które w normalnym odbiorze społecznym należą do najpoważniejszych zagrożeń. Jeszcze ciekawiej wygląda reakcja tzw. rynku. Bo po informacji o karze akcje BOŚ Banku urosły około 2 proc., osiągając najwyższy poziom od ponad trzech miesięcy. Ale skoro dla inwestorów 5,1 mln zł nie stanowi problemu, to pozostaje pytanie, kto ostatecznie zapłaci karę i dlaczego będzie to jak zwykle klient banku przez droższe kredyty, wyższe marże albo kolejne opłaty, których nawet nie zauważy, bo ukryte będą gdzieś głęboko w tabelach prowizji i opłat?

● Kredyt mieszkaniowy, to taka bankowa usługa, dzięki której człowiek nieposiadający pieniędzy na mieszkanie może je kupić za pieniądze, których też nie ma, a potem przez 30 lat oddawać bankowi znacznie więcej, niż kosztowało lokum. Aby jednak obywatel mógł dostąpić tego szczęścia, politycy od czasu do czasu dochodzą do wniosku, że bankom, deweloperom i kupującym trzeba pomóc państwową akcją. Był zatem bezpieczny kredyt 2 proc., pojawiały się opowieści o kredycie zero procent, dopłatach do rat, gwarancjach i progach dochodowych. Bank Millennium wziął i popsuł tę opowieść. W pierwszym półroczu sam z siebie sprzedał bowiem kredyty hipoteczne warte 5,2 mld zł. Co gorsza dla wszystkich wyznawców poglądu, że bez państwowej pomocy nie da się sprzedawać hipotek, wartość tych kredytów wzrosła rok do roku o 282 proc. Jakby tego było mało, kredyty dla firm urosły bankowi w tym samym czasie o 77 proc. rok do roku i osiągnęły wartość 6,5 mld zł. Kredyty gotówkowe zwiększyły się zaś o 18 proc., do 4,2 mld zł. Łącznie zatem tylko te trzy rodzaje nowo sprzedanego finansowania miały wartość prawie 16 mld zł. Na dodatek wartość pieniędzy zgromadzonych w funduszach inwestycyjnych sprzedawanych pod znakiem Millennium wzrosła o 27 proc. rok do roku, a w drugim kwartale liczba aktywnych klientów detalicznych Millennium zwiększyła się o 83 tys. i osiągnęła 3 mln 354 tys. osób. Bank sprzedał więc kredyty bez dopłat i jednocześnie zarobił w drugim kwartale 407,6 mln zł na czysto. Zysk był o 23 proc. większy niż rok wcześniej i o 3,7 proc. wyższy od oczekiwań fachowców. I chyba nikogo nie zdziwi, że po ogłoszeniu tych danych jakoś nie odezwał się Związek Banków Polskich od lat opowiadający, że sektor bankowy w Polsce ma najgorzej ze wszystkich gałęzi gospodarki i ledwo dyszy.

● Gonienie Zachodu jest naszą narodową dyscypliną sportową, uprawianą przez wszystkie rządy. Najskuteczniej wychodzi nam gonienie ich w cenach. Jeszcze w 2021 r. przeciętne ceny towarów wynosiły w Polsce 44,4 proc. średniej unijnej. Rok później było to już 49,6 proc., a w 2025 r. aż 63,4 proc. W ciągu czterech lat pokonaliśmy więc niemal 19 punktów procentowych dystansu. Mechanizm tego ekonomicznego cudu jest nawet dość prosty. Jeżeli w Polsce coś kosztuje mniej niż na Zachodzie, to zachodni odbiorca bardzo chętnie to kupi. Powstaje zatem dodatkowy popyt, czyli pojawiają się kolejni chętni na ten sam towar. Produkcja nie zawsze potrafi za tym wzrostem zainteresowania nadążyć, przez co sprzedawca dochodzi do wniosku, że skoro chętnych jest więcej niż towaru, to cenę można podnieść. Jeszcze niedawno Polska mogła pocieszać się, że jest najtańszym krajem w regionie. Od kilku lat już nie jesteśmy. Niższe ceny niż u nas są w 10 krajach Europy. Szwajcarzy płacą przeciętnie

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

281 proc. tego co Polacy, co brzmi przerażająco do momentu uświadomienia sobie, że w 2020 r. relacja ta wynosiła aż 456 proc. Różnica między nami a Szwajcarią gwałtownie zatem maleje, ale w kasie, a nie na pasku wynagrodzenia. Według Eurostatu koszty utrzymania mieszkania w Polsce wynoszą 52,2 proc. średniej unijnej.

eprasa.pl 416a806190

Jeszcze większy rachunek wystawił Ekwadorowi amerykański koncern naftowy Occidental Petroleum. Spółka przekazała innemu przedsiębiorstwu 40 proc. udziału w eksploatacji pola naftowego bez wymaganej zgody władz. Ekwador zastosował sankcję przewidzianą przez własne prawo i rozwiązał kontrakt. Arbitrzy przyznali, że Occidental naruszył zasady, ale państwo zareagowało zbyt surowo.

Najpierw zasądzili 1,8 mld dol. Po częściowym uchyleniu wyroku kwotę zmniejszono, a Ekwador ostatecznie zgodził się wypłacić około 980 mln dol. Koncern złamał warunki umowy, ale to społeczeństwo zostało ukarane za zbyt stanowcze egzekwowanie prawa. W normalnym świecie winny płaci karę. W świecie ISDS winny uruchamia arbitraż i odbiera przelew.

Polska także poznała ten model. Holenderskie Eureko miało kupić kolejne akcje Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń i uzyskać kontrolę nad największym polskim ubezpieczycielem. Gdy pod naciskiem politycznym i społecznym rząd wycofał się z dalszej prywatyzacji, spór dotyczący wykonania umowy handlowej został za pomocą polsko-holenderskiego BIT-u podniesiony do rangi międzynarodowego naruszenia praw inwestora. Umożliwiła to tak zwana klauzula parasolowa, dzięki której zobowiązanie zapisane w zwykłej umowie mogło zostać przykryte ochroną międzynarodowego traktatu. Jeden z arbitrów ostrzegał, że tworzy to niebezpieczny precedens. Sprawa zakończyła się ugodą zapewniającą Eureko ogromne korzyści finansowe obejmujące m.in. dywidendę i sprzedaż akcji PZU. Nie był to prosty przelew jednego odszkodowania. Rezultat pozostawał jednak czytelny: zmiana politycznej decyzji dotyczącej prywatyzacji miała dla państwa wielomiliardową cenę.

Te historie łączy jedna zasada. Społeczność może bronić lasu. Mieszkańcy mogą domagać się czystej wody. Państwo może egzekwować warunki koncesji. Społeczeństwo może zmienić zdanie w sprawie prywatyzacji strategicznej firmy. Ale każda z tych decyzji może zostać potraktowana jak naruszenie praw kapitału.

Praw człowieka broni się latami i zwykle bezskutecznie. Prawa własności mają własny trybunał, własnych arbitrów i licznik odsetek. To nie jest ochrona inwestycji przed bezprawiem. To ochrona kapitalizmu przed demokracją.

Demokracja z klauzulą przetrwania

Najpiękniejsza pułapka czeka na końcu. Państwo może BIT wypowiedzieć, lecz wiele takich umów zawiera tak zwaną klauzulę przetrwania. Oznacza ona, że inwestycje dokonane przed wypowiedzeniem traktatu pozostają chronione jeszcze przez 10, 15, a nawet 20 lat. Naród może zmienić rząd, konstytucję i zdanie. Umowa pilnuje interesu właściciela dłużej, niż trwa polityczna pamięć obywateli. Dlatego BIT i ISDS nie są technicznym dodatkiem do gospodarki. Są gospodarczą konstytucją kapitalizmu pisaną poza społeczeństwem i uzbrojoną w odszkodowania. Wyborcy mogą głosować, parlament uchwalać. A potem prawnik korporacji otwiera traktat i sprawdza, ile będzie kosztowała demokracja.

W neoliberalnym teatrze lud wybiera aktorów do wykonywania cyrkowych sztuczek w parlamentach. Kapitał zachowuje kasę, cyrkową arenę i realną władzę.

ANNA GRODZKA

Drenowani butelką

Wraz z postępem kaucyjności walka opakowaniowa się zaostrza

Ministra klimatu Paulina Hennig-Kloska zawyła radośnie w sieci: „Mamy kolejny ważny rekord systemu kaucyjnego. W czerwcu zwrócono 700 mln opakowań!”. I trudno się jej dziwić, bo to liczba wyglądająca znakomicie na kolorowej planszy, szczególnie gdy obok umieści się puszkę, butelkę oraz zieloną strzałkę sugerującą, że wszystko krąży, wraca i zaraz zbawi planetę.

Miliardy radości

W styczniu zwrócono 28 mln opakowań. W marcu było ich już 220 mln, w kwietniu – 480 mln, w maju – 600 mln, a w czerwcu – wspomniane 700 mln. Miesięczna liczba zwrotów wzrosła więc od początku roku 25-krotnie. Łaknąca jakiegokolwiek sukcesu ministra może więc pokazywać wykres, na którym coś pnie się w górę szybciej niż ceny mieszkań, opłaty za wodę i wynagrodzenia prezesów państwowych spółek. Do końca maja zebrano 1,6 mld opakowań, czyli o 600 mln więcej niż do końca kwietnia. A że w czerwcu doszło kolejne 700 mln, licznik wskazał 2,3 mld. Ministerstwo podaje też, że do końca maja na rynek wprowadzono 4,3 mld opakowań objętych systemem. Jedne miliardy już więc wróciły, a inne nadal stoją w lodówkach, jeżdżą w bagażnikach albo czekają w kuchniach na dzień, w którym ich właściciel uzna, że uzbierał dostatecznie dużo, by opłacało się ruszyć do butelkomatu.

System kaucyjny działa w Polsce od 1 października 2025 r. Obejmuje plastikowe butelki o pojemności do 3 litrów i metalowe puszki do 1 litra, za które płaci się 50 gr kaucji. Od 2026 r. znajdują się w nim również szklane butelki wielokrotnego użytku do 1,5 litra, wyliczane na złotówkę. Paragonu przy zwrocie mieć nie trzeba, ale opakowanie musi zachować kształt, oznaczenie i kod, bo zgnieciona puszka, choć zajmuje mniej miejsca i z punktu widzenia logiki transportu wydaje się sensowniejsza, dla systemu nie istnieje. Człowiek ma więc przez pół miasta wozić powietrze zamknięte w plastikowych butelkach, ponieważ automat musi zobaczyć, przeczytać i uznać, że butelka jest butelką. Potem sam ją zgniecie. Obywatelowi tej przyjemności pozostawić nie wolno.

W całej Polsce działa około 66 tys. punktów zwrotu. Wśród nich znajduje się 34 tys. punktów ulokowanych w małych placówkach handlowych oraz 14 tys. automatów kaucyjnych. Właśnie przez maszyny przechodzi 87 proc. zbieranych opakowań. Może dlatego, że jak się samemu wydrukuje kod kreskowy z internetu i naklei go na niekaucjowaną butelkę, to jest się do przodu pół złotego.

Grosze wściekłości

A kiedy ministerstwo liczy miliardy, sklepy liczą grosze. I wychodzi im, że im więcej butelek przyjmują, tym więcej mogą tracić. Według Rady Przedsiębiorców działającej przy rzeczniku małych i średnich przedsiębiorców, sklep otrzymuje za automatyczne przyjęcie opakowania około 15 gr, podczas gdy rzeczywisty koszt obsługi to 33 gr. Na każdej butelce lub puszce przyjętej przez automat brakuje zatem 18 gr. Przy ręcznej zbiórce sklep ma dostawać 11 gr, choć koszt operacji według przedsiębiorców wynosi 31 gr. Brakuje więc 20 gr. Czyli automatyzacja pozwala stracić o 2 gr mniej niż człowiek wykonujący tę samą pracę ręcznie. To dość ciekawy postęp technologiczny.

Jeżeli przez system przeszło 2,3 mld opakowań, a 87 proc. z nich oddano w automatach, mówimy o ok. 2 mld sztuk przyjętych maszynowo. Gdyby do każdej sklep rzeczywiście dopłacał 18 gr, różnica pomiędzy deklarowanym kosztem a wynagrodzeniem za obsługę wyniosłaby około 360 mln zł. Pozostałe 13 proc., czyli mniej więcej 299 mln opakowań mogło zostać przyjęte inaczej. Przy różnicy 20 gr wskazywanej dla zbiórki ręcznej powstałoby następne prawie 60 mln zł. Łącznie dawałoby to około 420 mln zł. Nie jest to oficjalny bilans strat całego systemu, bo nie wiadomo, jak dokładnie rozkładały się sposoby zbiórki, jakie umowy podpisały poszczególne sklepy, ile rzeczywiście kosztuje ich obsługa i które placówki ponosiły pełne wydatki inwestycyjne. Pokazuje jednak, dlaczego resort widzi miliardy opakowań, a handel setki milionów złotych wtopy finansowej.

Rada Przedsiębiorców nazywa system „finansowym dramatem sklepów” i przekonuje, że zbiórka jest dla handlu stratą „w każdym wariancie”. Bo ogromną część fizycznej roboty rzeczywiście wykonują sklepy. Muszą znaleźć miejsce, przyjąć opakowanie, sprawdzić je albo postawić maszynę, sprzątać, przechowywać worki, pilnować odbioru i tłumaczyć klientom, dlaczego automat czegoś nie przyjął. Natomiast

klient najpierw pożycza systemowi 50 gr lub złotówkę, potem nosi opakowanie, czeka w kolejce i na końcu dostaje własne pieniądze z powrotem, co w oficjalnej narracji przedstawiane jest niemal jak nagroda za obywatelską postawę.

Najdroższy element całego przedsięwzięcia stanowi zakup butelkomatu. Maszyna może kosztować nawet 70 tys. zł. Za taką kwotę można wyposażyć kawałek sklepu albo przez jakiś czas płacić pracownikowi. Można też nabyć urządzenie, które zajmuje powierzchnię handlową, pobiera prąd, wymaga obsługi i serwisu oraz regularnie informuje klientów komunikatem, że aktualnie nie przyjmuje opakowań. Mały sklep musi więc wydać dziesiątki tysięcy złotych, żeby później otrzymywać po kilkanaście groszy za czynność, która kosztuje ponad dwa razy więcej.

Jeśli maszyna kosztuje 70 tys. zł, a sklep otrzymuje 15 gr za opakowanie, to sama suma wpływów odpowiadająca cenie urządzenia pojawi się dopiero po przyjęciu około 466 tys. 667 sztuk. Nie jest to jednak chwila, w której inwestycja się zwraca, bo z tych 15 gr trzeba opłacić prąd, miejsce, personel, czyszczenie i serwis. Gdyby jeden automat obsługiwał 1000 opakowań dziennie, sklep otrzymywałby 150 zł, lecz koszt wynosiłby 330 zł. Dzienna różnica sięgałaby 180 zł, miesięczna – 5,4 tys. zł, a roczna – 65,7 tys. zł.

Nie oznacza to, że każda placówka faktycznie traci dokładnie tyle. Stawki, koszty, liczba zwrotów i umowy mogą się różnić. Pokazuje jednak osobliwą zależność. Im skuteczniej Polacy oddają butelki, tym większym sukcesem może pochwalić się resort i tym więcej w plecy mogą być punkty handlowe.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Złotówki bezradności

W sklepach pojawił się też problem, którego ministerialna grafika z radosną puszką nie pokazuje. Opakowania bywają lepkie, brudne i zawierają resztki napojów. Czasem przez wiele dni leżą w torbach, samochodach, piwnicach i mieszkaniach, po czym trafiają do miejsca, w którym sprzedawana jest żywność. Pracownicy sklepów określają skupiska takich butelek i puszek mianem bomb biologicznych. Brzmi przesadnie, ale wystarczy zostawić na kilka dni kilkadziesiąt niedopitych puszek po piwie i słodzonych napojach, żeby pojawiły się zapach fermentacji, muszki, lepka podłoga i konieczność mycia wszystkiego, czego dotknął klient niosący worek pełen ekologii.

Przedsiębiorcy narzekają też na brak jednoznacznych zasad sanitarnych. Nie wiedzą, jak daleko od żywności powinny znajdować się zwracane opakowania, jak często należy czyścić punkt zbiórki, jak zabezpieczać wyciekające resztki i za co kontroler może ukarać sklep. Państwo każe przyjmować, operator każe przechowywać, klient oczekuje zwrotu, a sanepid może kiedyś przyjść i wystawić mandat albo zamknąć placówkę.

Jeszcze ciekawiej zrobi się, jeśli rząd rozszerzy system o jednorazowe opakowania szklane, w tym małpki. Jesienią resort chce dołożyć do plastikowych butelek, puszek i szkła wielorazowego także małe buteleczki po alkoholu. W teorii pomysł jest słuszny, tyle że część automatów nie jest przystosowana do rozpoznawania takich opakowań. Sklep, który właśnie wydał 70 tys. zł, może więc usłyszeć, że powinien zapłacić za przeróbkę albo nowe urządzenie.

W plecy są i samorządy. Przed uruchomieniem systemu puszki i plastikowe butelki trafiały do sortowni, które mogły je wydzielić i sprzedać jako wartościowy materiał. Aluminium i dobrej jakości plastik nie były dla nich kłopotem, lecz częścią przychodów. Teraz te najbardziej wartościowe elementy odpływają do operatorów systemu kaucyjnego. Gmina nadal musi wysłać śmieciarkę, utrzymać sortownię, zatrudnić pracowników, ale traci to, co dało się korzystnie sprzedać.

W ten sposób obywatel płaci trzy razy. Najpierw kaucję w sklepie potem w tym samym sklepie marżę, bo straty na butelkach jakoś trzeba zrekompensować, a później wyższą opłatę za odpady, gdy gminie przestanie się zgadzać rachunek. Kaucję odzyska, o ile zachowa opakowanie w stanie nienaruszonym, znajdzie działający automat i nie zgubi kwitka. Wyższej opłaty śmieciowej i podwyżki ceny w sklepie nikt mu nie zwróci.

TADEUSZ JASIŃSKI

Nadal jest tanio, tyle że w 2022 r. było to 42 proc. unijnej średniej. W zaledwie trzy lata wskaźnik podskoczył o 10,2 punktu procentowego. Podobnie rzecz wygląda z cenami samych mieszkań kosztującymi 59,7 proc. średniej unijnej. Taniej jest tylko w dziewięciu krajach Europy, z Bośnią i Hercegowiną na czele. Ale polskie ceny w trzy lata wzrosły z poziomu 51,7 proc. Wciąż względnie tanie pozostają polskie usługi. Fryzjer, dentysta czy transport kosztują u nas przeciętnie 59,4 proc. średniej unijnej. Tanie usługi wynikają zaś z taniej pracy, ludzie, którzy je wykonują, zarabiają mniej niż ich zachodni odpowiednicy. Żywność i napoje bezalkoholowe są w Polsce przeciętnie o 10,5 proc. tańsze od średniej unijnej. Ale jeszcze w 2022 r. żywność była tańsza o 25,5 proc. Szczególnie dziarsko do Unii maszerują ceny mleka i jego przetworów. W 2022 r. płaciliśmy za nie o 26,1 proc. mniej niż przeciętny mieszkaniec UE. W 2025 r. już tylko o 7,3 proc. mniej. Jeszcze szybciej pobiegły warzywa. W 2022 r. były o 26,7 proc. tańsze od unijnej średniej, a trzy lata później już tylko o 7 proc. W jeszcze bardziej europejskim tempie zachowuje się alkohol. W 2022 r. napoje alkoholowe były w Polsce o 8,2 proc. tańsze niż średnio w Unii. W 2025 r. były już o 8,5 proc. droższe. Alkohol w Niemczech jest już o 21 proc. tańszy niż w Polsce, a we Włoszech o 24,5 proc. Obuwie kosztuje w Polsce o 7,4 proc. więcej niż przeciętnie w UE. Przy kasie w dyskoncie Polak może poczuć się prawie jak mieszkaniec Zachodu, tyle że tamten po zapłaceniu rachunku zwykle ma jeszcze za co żyć.

● Zakaz handlu w niedzielę przedstawiany jest jako jedno z największych zwycięstw związków zawodowych po 1989 r. Miał przywrócić pracownikom handlu wolne niedziele, poprawić życie rodzinne i sprawić, że przynajmniej jeden dzień w tygodniu nie będzie podporządkowany sklepowym obrotom. Widać jednak, że rozwiązanie to zaczyna budzić wątpliwości nawet w części środowiska związkowego. Dlatego Związkowa Alternatywa postuluje całkowite zniesienie zakazu handlu w niedziele. W zamian chce wprowadzenia wynagrodzenia za pracę w tym dniu wynoszącego 250 proc. normalnej stawki, czyli 2,5 raza więcej za każdą przepracowaną godzinę. Ba, taki dodatek powinien obowiązywać nie tylko w handlu, ale również w innych branżach, w których pracownicy wykonują obowiązki w niedziele. Wszystko dlatego, że obecny zakaz został przez kolejne wyjątki tak bardzo osłabiony, iż w wielu miejscach handel nadal się odbywa. A jeżeli za każdą godzinę trzeba byłoby zapłacić 250 proc. standardowego wynagrodzenia, to część firm mogłaby zrezygnować z otwierania sklepów z powodów ekonomicznych, natomiast tam, gdzie handel rzeczywiście byłby opłacalny, pracownicy otrzymywaliby znacznie wyższe wynagrodzenie i dopiero wtedy można byłoby mówić o rzeczywiście dobrowolnej pracy w niedzielę. Zakaz handlu wprowadzono z myślą o pracownikach sklepów, tyle że model ten nie zapewnia im odpowiednich korzyści. Możliwość przepracowania jednej lub dwóch niedziel w miesiącu za wynagrodzenie wyższe o 150 proc. ponad normalną stawkę mogłaby więc oznaczać zauważalny wzrost miesięcznych dochodów. Związkowcy nie informują o rozpoczęciu prac legislacyjnych ani o skierowaniu projektu ustawy do sejmu. Pokazują jednak wyraźnie zmianę nastrojów sprowadzającą się do stwierdzenia, że nie ma co uprawiać handlowej hipokryzji i wreszcie powiedzieć, że cesarz jest nagi.

TTJ

eprasa.pl 416a806190

Ode złego

Każdy pątnik winien być jak agent CIA – nic nie widzieć, nic nie słyszeć i nic nie mówić.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jeżeli wierzyć folderom promującym pielgrzymki, to człowiek wychodzi z domu z plecakiem, różańcem i śpiewnikiem, a wraca duchowo lżejszy, moralnie bogatszy i z przekonaniem, że przez kilkaset kilometrów prowadziła go Opatrzność. Tyle że Opatrzność, jeśli nawet prowadzi, to nie rozpościera nad pielgrzymką kopuły chroniącej przed pijanym kierowcą i nie podtrzymuje spróchniałych konarów.

Doświadczanie

Podczas kieleckiej pielgrzymki na Jasną Górę pątnicy zatrzymali się na postój w Szańcu. Nad okolicę nadciągnęła gwałtowna burza. Zerwał się wiatr, który spowodował, że ogromny konar oderwał się od drzewa i runął prosto na odpoczywających uczestników pielgrzymki. Kilka osób zostało rannych, część wymagała pomocy na miejscu, część przewieziono do szpitala.

Historia ta jest niewygodna dla wszystkich, którzy lubią opowiadać o szczególnej ochronie uczestników religijnych marszów. Gdyby bowiem podobny konar spadł podczas festiwalu muzycznego, zlotu motocyklistów albo biegu ulicznego, natychmiast rozpoczęłaby się dyskusja o bezpieczeństwie imprezy, stanie drzewostanu i odpowiedzialności organizatorów. Kiedy jednak rzecz dotyczy pielgrzymki, pojawiają się słowa o cudzie, że nikt nie zginął.

Gdyby ktoś twierdził, że spadnięcie gałęzi było spowodowane jedynie kaprysem pogody, zawsze można odpowiedzieć drugim przykładem. Tym razem nie było bowiem ani wichury łamiącej drzewa, ani burzowego frontu przechodzącego nad pielgrzymkowym szlakiem. Była natomiast pielgrzymka konna, konie, bryczka i droga prowadząca przez wielkopolskie miejscowości. I otóż podczas pielgrzymki doszło do przewrócenia bryczki. Według informacji przekazywanych przez służby i organizatorów kilka osób zostało poszkodowanych, jednak najcięższych obrażeń doznał proboszcz parafii z Gizałek. Duchowny został przygnieciony przez elementy pojazdu i doznał na tyle poważnych obrażeń, że wezwano śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. Pozostali uczestnicy również wymagali pomocy medycznej, choć ich obrażenia były znacznie mniej groźne. Żadna z relacji nie wspominała o cudownym zatrzymaniu rozpędzonej bryczki ani o niewidzialnej dłoni podtrzymującej przewracający się pojazd. Informacje koncentrowały się na stanie duchownego. A gdy emocje opadły, pozostało pytanie: skoro modlitwa miała prowadzić ludzi bezpiecznie do celu, dlaczego najciężej ucierpiał właśnie ksiądz?

Na to pytanie odpowiedź jest gotowa od wieków. Stwórca doświadcza i wystawia na próbę każdego. Wszak jeżeli nic złego się nie stanie – to znak opieki bożej. Jeżeli wydarzy się coś niefajnego – to tajemniczy plan boży.

Idąc na Jasną Górę, co roku tysiące pielgrzymów pokonują drogami setki kilometrów. Sam ten fakt oznacza, że prędzej czy później spotkają się z kierowcami, którzy nie zachowają ostrożności. I rzeczywiście, gdy pod Częstochową samochód uderzył w 27-letnią uczestniczkę pielgrzymki, procedura wyglądała dokładnie tak samo jak przy każdym innym potrąceniu pieszego. Zamiast rubryki „brak ingerencji sił nadprzyrodzonych", były ślady hamowania, oględziny pojazdu i zeznania świadków.

Promile duchowości

Równie niecudowny był wypadek w Grobli w powiecie radomszczańskim. Pijany kierowca Opla najechał na tył grupy pielgrzymów zmierzających do Częstochowy z powiatu opoczyńskiego. Zaraz po wypadku karetkami pogotowia i helikopterami LPR do szpitali trafiło 10 osób w tym 2,5-letnie dziecko. W sumie różnych obrażeń doznało 13 pątników. A ponieważ pielgrzymka liczyła 156 osób, to większość może mówić o cudzie, bo wszak 143 nic się nie stało.

Kierowca, któremu wcześniej odebrano prawo jazdy, wydmuchał 1,3 promila alkoholu, ale miast stanąć przed jakimś kościelnym trybunałem, wylądował przez zwykłym świeckim wymiarem sprawiedliwości, i to nie pod zarzutem bezbożnego ataku na sacrum czy nawet za znieważenie religijnych odczuć pielgrzymki, ale za „sprowadzenie katastrofy w ruchu lądowym zagrażającej życiu i zdrowiu wielu osób" oraz za prowadzenie auta mimo sądowego zakazu.

Gdyby wszystkie opisane dotąd historie kończyły się wraz z wejściem na jasnogórskie błonia czy do innego sanktuarium, można by jeszcze próbować budować teorię, że dla pątnika najważniejsze jest szczęśliwe dojście do celu. Problem polega na tym, że dla wielu pielgrzymów niebezpieczniejszy okazuje się powrót do domu.

Na Podlasiu doszło wszak do czołowego zderzenia samochodu osobowego z ciężarówką. Jak informowała policja, kierowca ciężarówki nie odniósł obrażeń, natomiast obie osoby podróżujące BMW zmarły na miejscu. Okazało się, że ofiary wypadku, 42-letnia kobieta i jej 10-letni syn, wracali z pielgrzymki na Jasną Górę. Ich grupa pielgrzymkowa wróciła do Białegostoku autokarem, a kobieta z synem podróżowali swoim samochodem. „Miał być post podsumowujący nasze wędrowanie, jednak dziś dotarła do nas bardzo smutna wiadomość. Siostra Monika i jej syn Dawid zakończyli już ziemską pielgrzymkę. Rodzą się w naszych rozdartych sercach różne pytania. Tylko dobry Bóg i już oni znają na nie odpowiedź. Polecamy Monikę i Dawida i ich rodzinę waszej modlitwie" – można było przeczytać na facebookowej grupie pielgrzymkowej z Białegostoku. Żadnego z pytań nie zamieszczono.

Ruletka Opatrzności

Okazuje się, że nie wrócić z pielgrzymki można nie tylko wskutek wypadku. Pani Kazimiera z Bełchatowa była nader religijna. Codziennie chodziła do kościoła, była na siedmiu wycieczkach, m.in. w Częstochowie i Licheniu. Gdy ksiądz organizował wyjazd na pielgrzymkę do Wilna, cieszyła się, że będzie mogła pomodlić się „przed obliczem Matki Boskiej w Ostrej Bramie".

Pielgrzymka dojechała, pomodliła się i po wszystkim zebrała się w ustalonym wcześniej miejscu. Zjawili się wszyscy poza panią Kazimierą. Próbowano się do niej dodzwonić, tyle że kobieta nie wzięła telefonu. Pielgrzymka czekała 30 minut, po tym czasie opiekun zwołał pątników do autokaru i odjechano.

Rodzina o tym, że pani Kazimiera nie wróciła, dowiedziała stąd, że jej nie było. Opiekun pielgrzymki w koloratce jakoś nie wpadł na to, by kogoś poinformować. Rodzina ruszyła kogo mogła, ale ani litewskiej policji, ani nikomu innemu nie udało się pani Kazimiery odnaleźć. Ksiądz, który był opiekunem pielgrzymki, kilka miesięcy po porzuceniu swojej parafianki na Litwie otrzymał nową parafię, gdzie został proboszczem.

Pielgrzymki to nie tylko polska specjalność. Hiszpańskie Camino de Santiago, reklamowane jako droga duchowego oczyszczenia, spotkania z Bogiem i samym sobą, od kilku lat coraz częściej pojawia się w mediach nie z powodu kolejnych świadectw nawrócenia, lecz relacji kobiet, które twierdzą, że stały się tam ofiarami molestowania seksualnego. Problem nie ma charakteru pojedynczych incydentów. Kobiety opowiadały mediom o natarczywym zaczepianiu, niechcianych propozycjach seksualnych, dotykaniu, śledzeniu podczas marszu, a nawet sytuacjach, w których zwyczajnie bały się nocować samotnie w schroniskach. Niektóre mówiły wprost, że zamiast skupiać się na modlitwie czy kontemplacji krajobrazu, przez znaczną część drogi zastanawiały się, czy kolejny mężczyzna idący za nimi jest zwykłym pielgrzymem, czy kimś, kogo należy się obawiać. Pojawiały się relacje kobiet noszących specjalnie luźniejsze ubrania, zmieniających plan marszu, proszących innych uczestników o wspólne pokonywanie kolejnych odcinków albo świadomie wybierających większe grupy, aby nie znaleźć się sam na sam z nieznajomym. W naszych mediach przy opisach hiszpańskiego Camino dziwnie zawsze podkreślano, że podobnych przypadków nie ma podczas pielgrzymek w Polsce.

Nie oznacza to oczywiście, że pielgrzymowanie jest przedsięwzięciem wyjątkowo niebezpiecznym. Ba, opisywanych tragedii wśród pątników jest zaskakująco mało. Każdego roku na pielgrzymkowe szlaki wychodzą setki tysięcy ludzi.

Pokonują miliony kilometrów pieszo, jadą konno, przemieszczają się autobusami, śpią pod gołym niebem, przechodzą przez ruchliwe skrzyżowania, maszerują w upale, podczas ulew i burz. Statystycznie rzecz biorąc, powinno dochodzić do znacznie większej liczby poważnych zdarzeń.

Pozostają więc dwie możliwości. Pierwsza spodoba się wierzącym. Powiedzą, że skoro przy tak ogromnej liczbie uczestników dochodzi do stosunkowo niewielu tragedii, to może rzeczywiście jakaś opieka nad pielgrzymami istnieje. Druga zaś sprowadza się do tego, że pielgrzymki kierują się zasadą, która od dziesięcioleci chroni rozmaite instytucje przed niewygodnymi pytaniami – więc to, co dzieje się na pielgrzymce, zostaje na pielgrzymce.

TOMASZ BOROWIECKI

W Gietrzwałdzie jest jak wszędzie w Polsce, tylko bardziej

Gietrzwałd nie jest zwykłą warmińską wsią. Leży kilkanaście kilometrów od Olsztyna i liczy niewiele ponad tysiąc mieszkańców, ale to jedyne miejsce w Polsce, którego objawienia maryjne zostały oficjalnie uznane przez Kościół katolicki. W 1877 r. dwóm polskim dziewczynkom miała ukazać się Matka Boska gadająca po polsku. Przez niemal 150 lat wokół tego wydarzenia wyrósł religijny biznes – Dom Pielgrzyma, źródełko z cudowną wodą, sklepiki z dewocjonaliami i słodyczami, restauracje, parkingi, noclegi, punkty gastronomiczne i cały ekosystem usług żyjących z niegdysiejszego objawienia.

Sanktuarium funkcjonuje przez cały rok, przyciąga setki tysięcy wiernych. Dla duchownych oznacza to mszę za mszą i kolejne datki, dla właścicieli pensjonatów – klientów, dla mieszkańców – utrudnienia, których nie rekompensuje ani duchowa atmosfera, ani wyte od świtu pieśni maryjne.

Miejscowość żyje dzięki sanktuarium, ale jednocześnie ma go serdecznie dosyć. Święte miejsce od kilku lat przyciąga jednak nie tylko pielgrzymów, lecz także polityków, aktywistów, ekologów, przedsiębiorców, fundamentalistów religijnych, internetowych proroków i media.

Dzisiejszy Gietrzwałd przypomina pole bitwy, na którym sojusze zmieniają się szybciej niż pogoda. Raz przeciw sobie stają mieszkańcy i duchowni. Innym razem mieszkańcy z zakonnikami wspólnie walczą z inwestorem. Potem część mieszkańców popiera inwestycję, podczas gdy druga część idzie ramię w ramię z politykami Brauna, ekologami i katolickimi stowarzyszeniami. W jeszcze innym sporze ci sami ludzie znajdują się po przeciwnych stronach barykady. Jedyną stałą pozostaje to, że każda kolejna awantura zaczyna się od słów o obronie Gietrzwałdu, a kończy oskarżeniami o zdradę, chciwość, manipulację albo niszczenie miejsca objawień.

Nie będzie Niemiec...

Informacja o tym, że wielka sieć handlowa zamierza wybudować centrum dystrybucyjne, wywołu-

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Diecezja legnicka udostępniła na swojej oficjalnej stronie internetowej zdjęcia z obchodów dnia skupienia księży seniorów. Na jednej z fotografii obok biskupa Andrzeja Siemieniewskiego pozował skazany za pedofilię ksiądz Paweł M., były proboszcz parafii w Ruszowie. Pierwsze doniesienia, że klecha krzywdzi dzieci, pojawiły się już w latach 80., kiedy był wikarym w parafii na Nowym Dworze we Wrocławiu. Po interwencji rodziców macanta w koloratce przeniesiono na wrocławski Ołtaszyn. Później kilkukrotnie zmieniał parafie, aż został proboszczem w Ruszowie. W maju 2019 r. okazało się, że duchowny molestował dwie niepełnosprawne intelektualnie dziewczynki w trakcie przygotowań do pierwszej komunii. W marcu 2020 r. Sąd Rejonowy w Zgorzelcu skazał ks. Piotra M. na pięć lat kicia i dożywotni zakaz pracy z dziećmi. Wskutek apelacji obrońców pedofila Sąd Okręgowy w Jeleniej Górze obniżył wyrok do lat czterech. W 2025 r. Sąd Okręgowy w Legnicy nakazał klesze wypłacić po 475 tys. zł dla każdej z ofiar. Kuria legnicka po wyroku wydała oświadczenie, w którym wyraziła ubolewanie i zaznaczyła, że wobec ks. Piotra M. toczy się postępowanie kanoniczne. W rozmowie z mediami rzecznik diecezji ks. Waldemar Wesołowski poinformował, że nie podjęto jeszcze żadnych decyzji. W spotkaniu ks. Piotra M. z biskupem nie widzi nic niewłaściwego. Jak tłumaczył, skazany za pedofilię mieszka w domu księdza emeryta, więc uczestniczył w wydarzeniu, jak wszyscy inni.

✚ W połowie sierpnia odbyła się pielgrzymka kobiet i dziewcząt do piekarskiego sanktuarium Matki Bożej Sprawiedliwości i Miłości Społecznej. Do uczestniczek przemówił abepe Andrzej Przybylski. Jak mówił hierarcha, „świat potrzebuje mądrze pokornych kobiet", które są „świadome swojej służebnej roli wobec Boga". Przekonywał, że kobiety, walcząc o swoje prawa, mogą – w jego ocenie – „dojść do przekonania o własnej samowystarczalności i całkowitej niezależności". To natomiast może prowadzić do „zamazania swojej komplementarności w relacji do mężczyzny", rezygnacji z określonych ról w rodzinie oraz „chorobliwej rywalizacji" o znaczenie w życiu zawodowym, społecznym i kościelnym. „Ta droga prowadzi kobietę od wolności do budowania relacji i bycia wspaniałą towarzyszką życia do wyobcowania, aż po ostateczną samotność i frustrację" – perorował klecha. Jak widać, zamiast na pielgrzymkę, lepiej pójść na rower albo na ryby.

✚ Koziołkujący autokar z polskimi pielgrzymami powracającymi z Međugorje zebrał śmiertelne żniwo. O tym, jak z perspektywy wiary próbować zrozumieć śmierć ludzi wracających z miejsca modlitwy, rozmawiał z PAP ks. Janusz Koplewski. – Teologicznie całe nasze życie jest pielgrzymowaniem do domu Ojca. (…) Pan Jezus mówi: „Zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem". Religijnie możemy więc powiedzieć, że przenieśli się z pielgrzymki do Matki do Ojca – wyjaśnił. Uspokoił też, że denaci na pewno byli na to przygotowani duchowo, bo wszyscy byli po spowiedzi i komunii. Zabawne, że według tego samego Kościoła eutanazja fajnymi lekami w ciepłym łóżku to cywilizacja śmierci.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

✚ Niecodzienny widok mogli zobaczyć petenci i pracownicy Podkarpackiego Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie. Na dachu budynku należącego do klasztoru bernardynów przy ul. Sokoła miał opalać się nagi zakonnik. O sprawie poinformowali lokalne media świadkowie, wysyłając na potwierdzenie swoich słów zdjęcia nagusa. Sprawa trafiła też do organów ścigania. Jak przekazała mł. asp. Gabriela Ślońska-Płonka z Komendy Miejskiej Policji w Rzeszowie, w takiej sytuacji możliwe jest zastosowanie art. 140 kodeksu wykroczeń, który mówi o nieobyczajnym wybryku w miejscu publicznym. Ostateczna ocena zależy jednak od ustaleń dotyczących konkretnego zdarzenia. Nie wiadomo, czy ojczulek ptaka jedynie brązowił, czy chciał się nim pochwalić.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 416a806190

Dopust boży

Ilustr. PAWEŁ FERENC

je zwykle dwie reakcje. Jedni liczą miejsca pracy, drudzy ciężarówki. W Gietrzwałdzie zanim ktokolwiek zaczął zastanawiać się, ile tirów będzie przejeżdżało przez okolicę, padły słowa o profanacji, zamachu na sanktuarium i duchowej agresji wobec katolików.

Lidl kupił ponad 40-hektarową działkę położoną na terenie przeznaczonym od wielu lat pod działalność gospodarczą. Inwestor zapowiadał budowę centrum dystrybucyjnego obsługującego północno-wschodnią Polskę. Mówiono o setkach nowych miejsc pracy, wielomilionowych wpływach z podatków do budżetu gminy oraz inwestycjach drogowych finansowanych przez firmę. Wójt i część radnych nie ukrywali, że dla gminy liczącej niespełna 7 tys. mieszkańców taka inwestycja mogłaby oznaczać finansowy skok w kosmos.

No i się zaczęło. Najpierw protestowali mieszkańcy okolicznych domów, którym perspektywa nieustannego ruchu ciężarówek zwyczajnie się nie uśmiechała. Potem dołączyli działacze ekologiczni wskazujący na zagrożenia dla krajobrazu oraz pobliskich obszarów chronionych. Wkrótce do protestów zaczęły przyłączać się katolickie organizacje, stowarzyszenia pielgrzymkowe, media prawicowe, politycy oraz duchowni przekonujący, że magazyn stanowi zagrożenie nie tylko dla przyrody, lecz przede wszystkim dla wyjątkowego charakteru sanktuarium, choć magazyn od sanktuarium miało dzielić kilka kilometrów. Ale w Gietrzwałdzie odległość nie ma znaczenia. Zaczęli zjeżdżać protestujący, organizowano modlitwy, konferencje prasowe i manifestacje. W internecie pojawiały się kolejne petycje podpisywane przez dziesiątki tysięcy osób. Spór stał się ogólnopolskim symbolem starcia między niemieckim kapitałem a religijnym dziedzictwem.

Najbardziej niezwykłe były jednak koalicje. W jednej demonstracji potrafili maszerować obok siebie tradycjonaliści katoliccy, narodowcy, działacze ekologiczni i mieszkańcy, którzy z Kościołem nie mieli wiele wspólnego, ale nie chcieli oglądać z okien kolumn tirów. Wystarczyło hasło: „nie dla magazynu”.

Zwolennicy inwestycji przekonywali, że ich adwersarze próbują zmienić gminę w gospodarczy skansen. Najbardziej cierpiał zdrowy rozsądek. Im dłużej trwał konflikt, tym mniej dotyczył magazynu. Coraz częściej mówiło się o wojnie cywilizacyjnej, obronie chrześcijaństwa, niemieckim kapitale i zamachu na polską tożsamość. A szło o halę, w której miały stać regały z jogurtami, papierem toaletowym i karmą dla psów. W końcu Lidl nie wytrzymał i ponad rok temu z Gietrzwałdu zrezygnował.

Kilowaty z tacy

Emocje jednak nie opadły. Kiedy jednak pojawiły się informacje o planowanej budowie instalacji fotowoltaicznej na gruntach kościelnych w pobliżu sanktuarium, nikt nie upatrywał w tym zarzewia kolejnej batalii. W końcu jeszcze kilka lat wcześniej politycy wszystkich większych partii przekonywali, że odnawialne źródła energii są przyszłością, a samorządy prześcigały się w programach montażu paneli. No i za kasą z fotowoltaiki optowała parafia.

Bardzo szybko jednak okazało się, że panele fotowoltaiczne to kolejna ingerencja w wizerunek sanktuarium. Zwolennicy inwestycji mówili o nowoczesności, bezpieczeństwie energetycznym i dodatkowych dochodach właścicieli gruntów. Przeciwnicy odpowiadali, że okolice bazyliki nie powinny stopniowo zamieniać się w strefę przemysłowych przedsięwzięć.

Jeszcze niedawno osoby protestujące przeciwko Lidlowi mówiły jednym głosem o konieczności ochrony Gietrzwałdu. Przy okazji fotowoltaiki nagle okazało się, że jedni są gotowi zaakceptować inwestycję, inni zaś uznają ją za równie niebezpieczną jak centrum logistyczne. Zawiązał się wśród miejscowych Komitet Obrony Gietrzwałdu przed komitetami obrony Gietrzwałdu. Tych zaś nie brakowało. Przeciwko fotowoltaice stanęły m.in. Komitet Obrony Gietrzwałdu, Ogólnopolski Komitet Obrony Gietrzwałdu, Ruch Obrony Granic, Ordo Iuris oraz kluby „Gazety Polskiej”.

Rozmowy zaczęły przenosić się do rodzinnych kuchni, sklepów i przystanków autobusowych. Spór przestał być anonimowy. Nie dyskutowano już o zagranicznej sieci handlowej, ale o konkretnych działkach, właścicielach i duchownych.

Ci ostatni pękli. Parafia Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Gietrzwałdzie opublikowała oświadczenie podpisane przez proboszcza i kustosza sanktuarium ks. Przemysława Sobonia mówiące, że parafia pozostaje właścicielem terenu i nie zamierza budować tam farmy fotowoltaicznej.

11 stref zbawienia

Pył z fotowoltaiki jeszcze nie zdążył opaść, gdy rozpoczął się bój o miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego. To przy jego uchwalaniu dawni sojusznicy rozstali się definitywnie, a spór o przyszłość sanktuarium wszedł w najbardziej burzliwą fazę.

Projekt dzielił gminę na 11 rodzajów stref planistycznych, m.in. wielofunkcyjne z zabudową mieszkaniową, usługowe, gospodarcze, infrastrukturalne, komunikacyjne, rolnicze, zieleni i rekreacji, cmentarzy, górnictwa oraz otwarte, a ponadto wyznaczał obszary uzupełnienia zabudowy, czyli miejsca, w których po wejściu nowych zasad możliwe miało być wydawanie decyzji o warunkach zabudowy. Takie obszary obejmowały mniej więcej 2,4 proc. powierzchni gminy.

Dla części właścicieli oznaczało to, że pozostawienie gruntu poza strefą umożliwiającą zabudowę odbierało nadzieję na przyszłe przekształcenie pola w działki budowlane. Spór o święty krajobraz przerodził się więc o walkę o ceny działek.

Ogólnopolski Komitet Obrony Gietrzwałdu, wspierany przez religijnych aktywistów i część środowisk prawicowych, domagał się takiego ukształtowania stref, aby panorama sanktuarium, trasy pielgrzymkowe i funkcje religijno-turystyczne otrzymały pierwszeństwo przed przemysłem, magazynowaniem oraz wielkimi instalacjami energetycznymi. Jego przedstawiciele zapowiadali, że nie zgodzą się na budowę ani jednej hali.

Radni zarzucali przyjezdnym rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji, a lokalny konflikt przestał przebiegać w wygodnym podziale na pobożnych obrońców i bezbożnych zwolenników hal, ponieważ

część mieszkańców, również tych krytycznych wobec wielkich inwestycji, zaczęła protestować przeciwko metodom ludzi przyjeżdżających z innych regionów, urządzających demonstracje i pouczających miejscowych, jak powinna wyglądać ich wieś.

Pojawiło się nawet zdanie o przyjezdnych chodzących po Gietrzwałdzie „jak święte krowy”.

Ludzie sprzeciwiający się wcześniej centrum Lidla popierali plan ogólny, jeżeli uważali, że dokument porządkuje rozwój i nie przesądza o żadnej hali. Właściciele gruntów występowali przeciw ograniczaniu zabudowy, choć jednocześnie nie chcieli magazynu. Duchowni i organizacje pielgrzymkowe domagali się ochrony panoramy oraz przestrzeni dla rozbudowy funkcji religijnych. Mieszkańcy zmęczeni pielgrzymkowym ruchem natomiast uznali, że zamiana Gietrzwałdu w Lourdes oznaczałaby jeszcze więcej autokarów, samochodów, nielegalnego parkowania, przechodzenia przez jezdnię i przyjezdnych przekonanych, że prawo o ruchu drogowym zostało zawieszone na czas ich osobistego spotkania z transcendencją.

Żadna z opisanych potyczek nie kończy się prostym podziałem na dobrych i złych. W każdej ci sami ludzie potrafią zmieniać role. Samorząd raz przedstawiany jest jako obrońca rozwoju, innym razem – jako wróg świętego miejsca. Ekolog potrafi znaleźć wspólny język z ultrakonserwatywnym katolikiem, by po kilku miesiącach pokłócić się z nim o zupełnie inną inwestycję. A zwykły mieszkaniec, który chciałby po prostu spokojnie dojechać do domu, nagle odkrywa, że został pionkiem w wojnie prowadzonej przez ludzi, którzy przyjechali do jego wsi z Warszawy, Krakowa albo Gdańska i są przekonani, że wszystko wiedzą lepiej.

TADEUSZ JASIŃSKI

Sercanie na dłoni

Gdzieś jest, lecz nie wiadomo gdzie...

Narodowe zawody w szukaniu Marcina Romanowskiego trwają. Były wiceminister sprawiedliwości jest bohaterem polskich mediów, ale w Polsce fizycznie nie występuje. Występuje duchowo, bo to człek szalenie uduchowiony. Jego bliskie związki z Kościołem kat. prowokują licznych komentatorów do snucia rozmaitych teorii na temat miejsca przebywania uciekiniera. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu i Moskwy. A przecież Moskwa jest według niektórych „trzecim Rzymem”.

Pierwszym tropem było Opus Dei. Romanowski jest numerariuszem tej organizacji, czyli członkiem na tyle zaangażowanym, że wyrzeka się używania członka w celach innych niż oddawanie moczu. Numerariusze żyją w celibacie i często mieszkają w ośrodkach Opus Dei, żeby miał ich kto oporządzić, skoro wyrzekli się prawa do posiadania żony. W placówkach Dzieła Bożego jest bowiem po bożemu: sprzątają baby, a chłopy poświęcają się wyższym celom. Ponieważ zaś Opus Dei posiada swoje oddziały na całym świecie, na organizację padło podejrzenie ukrywania numerariusza Romanowskiego.

Teoria zagościła na salonach. Forsował ją nawet były minister sprawiedliwości Adam Bodnar. „Skoro ktoś przed wstąpieniem do polityki był w Opus Dei, to raczej trudno mi sobie wyobrazić, żeby jego organizacja go opuściła” – snuł przypuszczenia w „Dzienniku Gazecie Prawnej”. I precyzował, w jakich warunkach socjalnych go szukać: „Jak się jest numerariuszem w Opus Dei, to się mieszka de facto w czymś w rodzaju takiej celi klasztornej. To nie jest oczywiście klasztor, ale cela odosobnienia, dość samotnicza”. W Tok FM stwierdził zaś, że o miejsce pobytu Marcina Romanowskiego powinno się pytać Opus Dei. – Myślę, że pan redaktor, jako ekspert w różnych stosunkach kościelnych, pewnie ma większą wiedzę, żeby ustalić jego miejsce pobytu – zwrócił się do red. Tomasza Sekielskiego, autora filmów o kościelnej pedofilii.

Opusdeiści stanowczo zaprzeczyli, jakoby trzymali tego gagatka u siebie. Ponieważ zaś jest to organizacja dbająca o dyskrecję, nie wszyscy uwierzyli w dementi. Tymczasem pojawiła się nowa teoria w związku z prawdopodobnym pobytem Romanowskiego w Naddniestrzu. Pięć parafii tamże prowadzą księża sercanie, głównie Polacy. „Gazeta Wyborcza” stwierdziła więc, że poszukiwany Romanowski może ukrywać się w jednej z nich. Trop ten podjęto, ponieważ właśnie z tego zgromadzenia wywodzi się słynny ksiądz „Salceson”, Michał O. Ten z kolei jako szef Fundacji Profeto przytulił z Funduszu Sprawiedliwości grube miliony na budowę ośrodka. Z tego funduszu, który sprowadził na Romanowskiego i księdza Michała problemy z prawem.

Dziennikarze „Faktu” zajrzeli ostatnio na teren budowy ośrodka „Salcesona” i spółki. „Inwestycji, na którą Fundusz Sprawiedliwości przelał miliony złotych, »Fakt« przyjrzał się z bliska. Wciąż pozostaje ona niedokończona. Główna bryła budynku jest już wzniesiona i zadaszona. Część okien została też zamontowana, jednak, jak widać na zdjęciach, znaczna część elewacji nadal pozostaje w stanie surowym. W kilku miejscach można dostrzec też niedokończone elementy konstrukcji. Teren wokół obiektu zarósł wysoką trawą i chwastami, które miejscami sięgają blaszanego ogrodzenia” – raportują. Budowa raczej nie zostanie prędko ukończona, bo źródełko wyschło i ledwo wystarcza na bieżącą działalność fundacji.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

O księdzu Michale przycichło, ale na tapet wzięto jego kolegów. Sercanie oczywiście zaprzeczają, jakoby mieli z tym wszystkim cokolwiek wspólnego. Zapytany (znowu przez „Fakt”) o rewelacje „Wyborczej”, rzecznik Prowincji Polskiej Księży Sercanów ks. Włodzimierz Płatek odpowiedział: „Łączenie sercanów z tą sprawą to kaczka dziennikarska. Rozmawiałem z przełożonym Dystryktu Mołdawskiego, księdzem Marcinem Janusiem, i mam jego oficjalne stanowisko. Absolutnie żadnego kontaktu ze strony Romanowskiego ani jego otoczenia nie było z żadnym księdzem w Tyraspolu. Duchowni absolutnie nic nie wiedzą na ten temat. To totalne bzdury wyssane z palca”.

Jak ksiądz mówi, że to bzdury, to mówi. Jednak teoria o ukrywaniu się Romanowskiego u sercanów ma pewne luki logiczne. Ucieczka do prorosyjskiego Naddniestrza miała bowiem potwierdzać, że nasz drogi uciekinier to agent Kremla. Tymczasem Rosja i jej poplecznicy traktują rzymskokatolickich duchownych z podejrzliwością i widzą w nich potencjalnych zachodnich agentów – ot, weźmy choćby polskiego karmelitę Grzegorza Gawła. Zakonnik został zatrzymany przez białoruskie KGB we wrześniu 2025 r. pod zarzutem szpiegostwa, a 28 kwietnia 2026 r. wyszedł na wolność w ramach wymiany więźniów.

Marcin Romanowski musiałby być więc równocześnie agentem Watykanu i Rosji. Ekipa rządząca chyba nie ogłosi, że te państwa są po równo nam wrogie i współpracują ze sobą na szkodę Polski?

Niedawno przecież omawiano z episkopatem szczegóły wycieczki papieża Leona XIV do naszego kraju, więc i Putina należałoby zaprosić.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 416a806190

GADMAN

Dopóki Francja się kręci

Przerwa na obiad to najważniejsze święto

W Normandii żyją szczęśliwe krowy. Bo są na wolności. Pasą się przez dziewięć miesięcy na prawdziwych pastwiskach. Z dala od obór. Jedzą znaną z wykwintnego smaku normandzką trawę. A przez pozostałe trzy oborowe miesiące – pożywne siano. Z prawdziwej normandzkiej trawy.

Ale nawet tak dobre warunki nie chronią tych krów od egzystencjalnych problemów. Traum, depresji, myśli samobójczych nawet. Wtedy ich hodowcy sprowadzają wyspecjalizowanych terapeutów. Ci sprawdzają, co krowie może burzyć szczęście. Zalecają terapię. To ważne, bo tylko szczęśliwe krowy dają dobre mleko ze szczęśliwych wymion. Tylko z dobrego mleka robi się znakomite sery. Zwłaszcza słynne globalnie normandzkie camemberty. Te najlepsze robią tam z mleka niepasteryzowanego. Jako produkt regionalny. Sprytni Francuzi wiedzą, jak olać brukselskie regulacje, aby jeść dobrze. Uczcie się, polscy hodowcy i serowarzy.

Zwierzęta szczęśliwe

W sąsiedniej Bretanii żyją szczęśliwe owce. Też na prawdziwych pastwiskach. Po czarnych kopytkach i pyskach poznacie je. Jedzą tam słynną słoną bretońską trawę. Bo Bretania nadmorska jest i soli tam skolko ugodno. Bretońskie owce również dają dobre mleko. Zwłaszcza na sery ze słonym posmakiem.

W Bretanii i Normandii świnie też bywają szczęśliwe. Ale tylko te pochodzenia celtyckiego. O białej skórze i uszach. Żyją one na polach, w laskach, a nie w klatkach i giga chlewach. Dlatego dają słynne „marmurkowe mięso". Idealne na prawdziwe szynki i kiełbasy. Powiem wam, że kiełbasa bretońska, zwłaszcza ta na ciepło z lokalną musztardą, jest prawie tak dobra jak polska. Oczywiście ta robiona z prawdziwej polskiej świni. Też wolnej, nieskoncentrowanej w klatkowym, przemysłowym, korporacyjnym lagrze.

Oprócz wyżej wymienionych w całej Francji żyją też inne zwierzęta uważane przez ludzi za szczęśliwe. Żaby, bo są gotowane powoli, aby się do wrzątku spokojnie przyzwyczaiły. Ślimaki, bo przed gotowaniem moczy się je w soli i mają czas, by przed śmiercią spokojnie się wysrać. Nie każdemu człowiekowi los to daje.

Podobnie z pulardami i kapłonami. Dzięki wczesnej kastracji nie mają żalu, że idą na rożny bez zakosztowania macierzyństwa i ojcostwa. Za to kogutów we Francji się nie je. Bo kogut to jeden z jej symboli.

Francja żyje

Dopóki Francja dobrze je, to Francja żyje. Im Francja żyje dostatniej, tym lepiej je. Je lepiej jedynie wtedy, kiedy je smacznie. Jest smacznie, kiedy wszystko, co przeznaczone do zjedzenia, było szczęśliwe przed pójściem na rzeź.

Są na świecie dwie globalne kuchnie. Chińska i francuska. Obie znakomite, bo bazują na swych regionalnych kuchniach. Nie wstydzą się ich. W obu kucharze są profesjonalistami. Dobrze też opłacanymi. Każdy z nich jest lokalnym i państwowym patriotą. Szczęśliwym, kiedy dobrze gotuje. Najlepsze chińskie, francuskie i wszystkie inne knajpy to te nieduże, rodzinne. Prowadzone przez pokolenia knajpiarzy. Tylko w Zakopanem taka gastronomiczna prawidłowość nie działa. Tam gastronomiczni patrioci szczęśliwi są, kiedy tylko wydutkają ceprów z dutków.

W Paryżu jest Au Vieux Paris d'Arcole. Tradycyjna restauracja w XVI-wiecznym budynku. Zaczynała w 1723 r. Polecam serwowany tam w przystępnej cenie pasztet strasburski, czyli foie gras. Ale tylko ten na ciepło, w sosie wiśniowym. Niebo w gębie! Porównywalne jedynie z kalmarem faszerowanym wieprzowiną podawanym w wietnamskim Hoi Anh, hot kociołkiem z Czengdu i oczywiście trepangiem z Hongkongu. Każde dziecko wie, że najlepsze trepangi są w Hongkongu na Kowloongu.

Francja żyje jeszcze, bo stale chroni swoją francuskość. Kuchnia francuska to filar francuskiej kultury, tożsamości i suwerenności narodowej. Jedzenie francuskich dań to dla Francuza utrwalanie substancji narodowej. Dlatego państwo francuskie wspiera francuskie kino. Bo wtedy na ekranie bohaterowie francuskich filmów jedzą tylko francuskie dania. Jeśli któryś z nich trafia do McDonalda, to musi być potencjalnym samobójcą albo seryjnym mordercą.

W Polsce zdeklarowani patrioci, zwłaszcza ci prawicowi, mają gęby pełne patriotycznej frazeologii. Ale swe żołądki zapychają amerykańskopodobną paszą. Olewają takie przysmaki kuchni polskiej jak śledzie po japońsku, śledzie pod szubą po rosyjsku, karpie po żydowsku, barszcze ukraińskie, kołduny litewskie, cepeliny żmudzkie, pierogi ruskie, karminadle, rolady i kluski śląskie, obwarzanki krakowskie, bajgle częstochowskie, cebularze lubelskie, fasolkę po bretońsku. To ostatnie danie nieznane w Bretanii.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Francja jest zwarta kulturowo i narodowo, bo ma silne kulturowo regiony i pielęgnuje je. Jest silnym państwem i ojczyzną jego regionów. W Polsce polski narodowiec boi się regionalizmów jak diabeł wody święconej.

Powszedni dzień świąteczny

Francuzi mają czas na dobre jedzenie, bo ich ustawowy czas pracy wynosi tylko 35 godzin tygodniowo. Siedem godzin dziennie. Maksymalnie czas pracy nie może przekraczać 10 godzin dziennie oraz 48 rodzin tygodniowo. Codziennie pracę przerywa się, kiedy nadchodzi przerwa obiadowa. Ta zwyczajowo zaczyna się o godz. 12.00 i trwa do 13.30–14.00. Przerwa na obiad to najważniejsze święto we Francji. Każdy je celebruje niezależnie od wiary i poglądów politycznych.

Gdyby jutro jakiś Putin napadł na Francję w porze obiadowej, to Francuzi najpierw zjedliby obiad, a potem ruszyli na barykady, aby obronić cnoty Marianny. Po drodze złożyliby też do odpowiednich władz donosy na wrażego Putina.

Poza codziennym obiadem wszyscy Francuzi obchodzą inne wolne od pracy święta. Wtedy też mogą spokojnie jeść. Mają ustawowo co najmniej 11 dni wolnych w roku. W większości to święta kościelne, bo Francja to najstarsza córa Kościoła, od czasu chrztu Chlodwiga I. Ale są też święta świeckie, bo Francja to ojczyzna antyklerykalizmu i państwa świeckiego.

Do tego każdy Francuz ma w ciągu roku przynajmniej 30 dni urlopu. Zwykle wykorzystuje ich więcej, bo dochodzą mu dni za godziny nadliczbowe. Obliczanie dodatkowych dni wolnych od pracy jest tam skomplikowane. Potężny sektor francuskich urzędników długo pracuje, aby wszystkim pracującym te wolne dni doliczyć.

Mogą też Francuzi jeść podczas wakacji, czyli w lipcu i sierpniu, oraz licznych dodatkowych przerw w zajęciach szkolnych. Podczas wakacji jedzą we Francji, bo za granicę jeżdżą rzadko, zwykle służbowo. Nic dziwnego, wszystkie wakacyjne atrakcje, jak morza, góry, zamki, pałace, urocze miasteczka i przecudne, nieskażone reklamozą krajobrazy, mają u siebie. Zresztą ochrona francuskiego krajobrazu, architektury, lasów, parków narodowych to dla Francuzów przejaw ich patriotyzmu. W Polsce takie działania prawicowi patrioci uważają za obce im „lewactwo".

Na karuzelach

Kiedy Francuz już zjadł i nie musi jeszcze pracować, to kręci się na karuzeli. Karuzelę znajdziecie w każdym francuskim miasteczku. To karuzela powinna być tam godłem państwowym. Zwłaszcza że jednego ustawowego godła państwowego nadal we Francji nie ma.

Dziś we Francji łatwiej jest trafić na karuzele niż publiczną toaletę. Te z dala widoczne są często jak faceci w Polsce. Albo zajęte albo zasrane. Oczywiście toalety znajdziecie w licznych barach i restauracjach. Ale dostępne są jedynie dla ich klientów. Aby oddać tam mocz, trzeba też tam coś wypić. To powoduje kolejną potrzebę toaletową. I tak wpada się tam w ciąg toaletowo-pijacki.

Wbrew powszechnym dziś internetowym opiniom Francja jest państwem bezpiecznym. Widać tam dużo policjantów i agentów ochrony. Masowo odwiedzane przez turystów miejsca patrolowane są przez wojsko. Z gotowymi do użycia karabinami automatycznymi. Żołnierze chodzą parami. Jak kiedyś milicjanci w Polsce. Ale we Francji zawsze jeden z nich jest galicyjskiej urody, a drugi postkolonialnej. Czułem się wśród tych patroli jak w czasach młodości. Za stanu wojennego. Tylko koksowników nie mieli.

Stalingradu nie ma już w Rosji i w Katowicach też. Za to nadal jest w paryskim metrze. Stacja przesiadkowa uważana za raj kieszonkowców pochodzenia afrokolonialnego. Celują w portfele i smartfony. Zegarków nie zabierają.

Nie wchodzą w to też Chińczycy i południowo-wschodni Azjaci. Choć we Francji strasznie cierpią, bo nie mogą legalnie pracować dłużej niż te 35 godzin tygodniowo. Na szczęście nieazjatyccy Francuzi zwykle nie odróżniają Chińczyka od Wietnamczyka, a zwłaszcza Chińczyka do Chińczyka. Dlatego przyłapani na dłuższej pracy, zwykle po francuskich donosach, pracowici Chińczycy od razu wypierają się swej tożsamości i udają inną chińską osobę, która niedawno pracę zaczęła. Dzięki temu francuscy Azjaci nie mają problemu i presji nadmiaru czasu wolnego. Nie muszą jeść francuskiej kuchni ani kręcić się na karuzelach.

Pomimo tak krótkiego czasu pracy, długich wakacji i licznych świąt we Francji ciągle pracują elektrownie, stocznie, fabryki samochodów, pociągów, samolotów, perfum, rakiet, odzieży, piwa, wina, cydru, koniaku, armaniaku i calvadosu. Fabryki wszystkiego, nie tylko serów, szynek i kiełbas. Kto tam pracuje, skoro knajpy i bary ciągle są pełne, a o wolne miejsce na karuzeli też trudno? Chyba nie tylko ci Chińczycy?

PIOTR GADZINOWSKI

Ocieplanie ludobójstwa za tysiaka miesięcznie

Soból i Żubriel

„Czy żubr naprawdę jest taki ciężki? Sytuacje bywają ciężkie, dlatego postanowiliśmy dodać relacjom polsko-izraelskim trochę wagi" – napisali krotochwilnie pracownicy ambasady Izraela w swoich social mediach. I pochwalili się adopcją króla puszczy z warszawskiego zoo. „A teraz, żubrze, minę uprzejmą zróbże" – dodali. Trzy dni później na tym samym profilu pojawiła się informacja o zakończeniu i umorzeniu śledztwa w sprawie śmierci polskiego wolontariusza Damiana Sobóla oraz sześciu innych pracowników organizacji World Central Kitchen, którzy zginęli 1 kwietnia 2024 r. w wyniku ostrzału konwoju humanitarnego w Strefie Gazy. Czy żubr przesłoni siedem trupów?

Ludzki mózg lubi oceniać innych na podstawie prostych, łatwo dostępnych wskazówek wizualnych. Okrągłe kształty, duże oczy i pozorna nieporadność zwierzaków uruchamiają w ludzinie tzw. Kindchenschema. To wprowadzona przez austriackiego etologa Konrada Lorenza koncepcja, opisująca zespół cech fizycznych typowych dla niemowląt (ludzkich i zwierzęcych), które wywołują u dorosłych instynktowną reakcję opiekuńczą i uczucie czułości. Ma to ewolucyjne znaczenie, bo zwiększa szanse przeżycia potomstwa. Badania neurobiologiczne potwierdzają, że bodźce Kindchenschema aktywują ośrodki nagrody w mózgu, co wzmacnia motywację do opieki. Przy okazji obniżają poziom agresji i podejrzliwości. Proces zachodzi błyskawicznie i bez udziału logicznej analizy.

Warszawskie zoo widocznie nie miało na podorędziu żubrzątka, ale ambasada Izraela znalazła sposób na wzmocnienie przekazu. „Wybór żubra nie był przypadkowy. Jan Żabiński, wieloletni dyrektor warszawskiego zoo, wraz z żoną Antoniną uratował podczas Zagłady ponad 300 Żydów. Za swoją pomoc oboje zostali w 1965 roku uhonorowani przez Yad Vashem tytułem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata" – wyjaśnili pracownicy placówki. Dodali też, że Żabiński pracował na rzecz odbudowy populacji żubra. To wszystko prawda i mamy z czego być dumni.

Jak podała Fundacja Rozwoju Warszawskiego Ogrodu Zoologicznego „PANDA", honorowa adopcja zwierzęcia z zoo oznacza comiesięczne wsparcie fundacji kwotą, która zostaje przeznaczona na ratowanie zagrożonych gatunków, sprzęt weterynaryjny dla ogrodu i działania edukacyjne. Koszt adopcji jednego żubra to ok. tysiąc złotych miesięcznie.

Wyjątkowo atrakcyjne cenowo ocieplanie wizerunku, ale kontrast wypala źrenice. Izraelska dyplomacja w Warszawie oczekuje od Polaków zachwytu nad zabezpieczeniem finansowym zwierzęcia, podczas gdy to samo państwo odmawia wzięcia odpowiedzialności za śmierć obywatela Polski niosącego pomoc humanitarną. To tzw. animal washing. Oznacza wykorzystywanie zwierząt lub pozorów troski o nie do budowania pozytywnego PR.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Kolejną technologią, którą Izrael i jego wysłannicy opanowali do perfekcji, jest *victim blaming*, czyli obwinianie ofiary.

Termin został oficjalnie ukuty i spopularyzowany przez amerykańskiego działacza społecznego i psychologa Williama Ryana w 1971 r. Kiedy w latach 60. w USA trwała debata nad prawami obywatelskimi osób czarnoskórych i problemem ubóstwa w gettach, amerykański urzędas Daniel Moynihan stworzył raport, w którym stwierdził, że główną przyczyną biedy i przestępczości wśród czarnoskórych Amerykanów są braki kulturowe i m.in. duża liczba rozbitych rodzin. Nazwał to plątaniną patologii. Ryan skrytykował raport w artykułach i przywalił urzędnikowi na odlew w książce „Blaming the Victim". Zauważył, że biała władza zamiast winić systemowy rasizm, segregację rasową i brak dostępu do edukacji, obwinia samych ubogich za to, że znaleźli się w życiowej dupie. Nazwał to ideologią, która pozwala politykom czuć się dobrze jako ludziom wrażliwym, zwalniając ich jednocześnie z obowiązku naprawy niesprawiedliwego systemu.

Po co nawiązanie do tego terminu i historii? Samo przychodzi na myśl, jeśli wczytać się w komentarz dyplomatów wyjaśniający odmowę wszczęcia przez Izraelczyków postępowania karnego wobec odpowiedzialnych za zabójstwo wolontariuszy z World Central Kitchen.

„Wśród czynników, które się do tego przyczyniły, wskazano fakt, że konwój nie poinformował IDF o zatrudnieniu prywatnych, uzbrojonych pracowników ochrony w celu zabezpieczenia go przed Hamasem, ani nie powiadomił IDF o zmianie wcześniej uzgodnionej trasy przejazdu. W świetle tych ustaleń oraz całokształtu okoliczności operacyjnych nie stwierdzono podstaw do powzięcia uzasadnionego podejrzenia popełnienia czynu o charakterze przestępczym, które uzasadniałoby wszczęcie postępowania karnego. Konkluzja ta pozostaje w zgodzie z wcześniejszym komentarzem ministra Radosława Sikor-

eprasa.pl 416a806190

Fiński sen

Koszty rozwodu z neutralnością

Jeszcze kilkanaście lat temu Finlandia była wizytówką Zachodu. Bogata, bezpieczna, dobrze zarządzana, z rozbudowanym państwem opiekuńczym, znakomitym systemem edukacji i gospodarką zdolną do światowej konkurencji. Miała przy tym jeszcze jeden atut, wynikający z geografii i historii. Była państwem Zachodu, ale przez dziesięciolecia zachowywała neutralność, postępowała pragmatycznie, budowała przyjazne stosunki ze swoim wielkim wschodnim sąsiadem. Rosja była dla Finlandii rynkiem eksportowym, dostawcą surowców, źródłem ruchu turystycznego i fundamentem gospodarki regionów przygranicznych.

Dzisiejsza Finlandia to obraz dalece niesielankowy. Finanse publiczne wyglądają fatalnie, bezrobocie należy do najwyższych w Unii Europejskiej, a kolejne pakiety cięć wydatków budżetowych są niezwykle dolegliwe. Wzrosła bezdomność, bardzo wzrosły wskaźniki ubóstwa i wykluczenia, a sytuacja we wschodniej części kraju – która wcześniej w dużym stopniu rozwijała się dzięki kontaktom z Rosją – jest wręcz tragiczna.

Jednocześnie Finlandia przeprowadziła potężny strategiczny zwrot. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę wstąpiła do NATO, praktycznie zerwała stosunki gospodarcze z Rosją i weszła na ścieżkę gwałtownej i kosztownej militaryzacji, doprowadzając gospodarkę do ruiny.

Problemy zaczęły się jednak znacznie wcześniej.

Sąsiedzi

Kryzys z lat 2007–2012 spowodował rozkład tamtejszego modelu rozwojowego. Kraj utracił znaczną część swoich najważniejszych przewag przemysłowych, przede wszystkim w sektorze nowych technologii i przemysłu papierniczego. Narastał dług publiczny, a po 2015 r. doszedł jeszcze problem masowej migracji – w ciągu jednego roku liczba wniosków azylowych wzrosła z około 3600 do ponad 32 tys.

W 2009 r. fiński PKB skurczył się o blisko 10 proc. – był to największy roczny spadek od dziesięcioleci. Po krótkotrwałym odbiciu (2010–2011), w kolejnych latach Finlandia ponownie wpadła w recesję, która przetrąciła kręgosłup państwa. Raporty Międzynarodowego Funduszu Walutowego opisywały wówczas Finlandię jako kraj, który przeszedł w ciągu dwóch lat drogę od jednej z najlepiej radzących sobie gospodarek rozwiniętych do jednej z najsłabszych.

Na to załamanie nałożyły się problemy wewnętrzne. Najważniejszym z nich była utrata pozycji Nokii jako światowego potentata telefonii komórkowej. Gdy koncern ten przegrał rywalizację z Apple i producentami telefonów z systemem Android, Finlandia straciła jeden z głównych silników gospodarki.

Równolegle zaczął słabnąć drugi tradycyjny filar fińskiej gospodarki – przemysł papierniczy i drzewny. Postępująca cyfryzacja wywołała potężny spadek światowego popytu na papier. W samym 2009 r. doszło do ponad 20-procentowego załamania w tym sektorze.

Problemy pogłębiała przynależność do strefy euro. Nie można było już rekompensować strat przez osłabienie własnej waluty. Państwo coraz częściej finansowało deficyty poprzez wzrost zadłużenia. Dług publiczny, który przed kryzysem finansowym wynosił 33 proc. PKB, w 2022 r. przekroczył 70 proc.; obecnie dobija do 90 proc. PKB. Na te problemy nakładała się niekorzystna demografia. Wydatki na emerytury wzrosły z około 20 mld euro w połowie pierwszej dekady XXI w. do ponad 35 mld obecnie.

Licząca ponad 1300 kilometrów granica z Rosją pozostawała tym większym gospodarczym atutem. Federacja Rosyjska należała do najważniejszych partnerów handlowych Finlandii. W 2021 r. wartość fińskiego eksportu do FR wyniosła 3,7 mld euro, a importu z FR – 8,6 mld euro.

Z Rosji Finlandia sprowadzała przede wszystkim surowce energetyczne – ropę, gaz i energię elektryczną – a także metale i surowce dla przemysłu; bardzo ważne było drewno. Z kolei do Rosji Finowie eksportowali przede wszystkim maszyny i urządzenia, produkty metalowe, papier, chemię i użytkowe wyroby przemysłowe.

Ogromne znaczenie miał również ruch transgraniczny. Rosjanie przez lata byli najliczniejszą grupą zagranicznych turystów odwiedzających Finlandię. W najlepszych latach zostawiali tam ponad miliard euro rocznie. Jeszcze w 2019 r. wykupili 821 tys. – jedną szóstą – wszystkich noclegów zagranicznych turystów. W Karelii Południowej rosyjscy turyści odpowiadali za 96 proc. zagranicznych przychodów turystycznych; w 2019 r. zostawili w tym regionie ponad 310 mln euro.

Finlandia zarabiała również na swojej roli gospodarczo-infrastrukturalnego pomostu między Rosją a Zachodem. Porty, kolej, transport samochodowy i centra logistyczne obsługiwały handel ze wschodem.

Wrogowie

Po 2022 r. wszystkie te elementy zniknęły z – i tak już niezwykle nadwyrężonego – gospodarczego krajobrazu Finlandii.

Po aneksji Krymu Finlandia ograniczała część kontaktów gospodarczych z Rosją, ale wymiana handlowa nadal pozostawała znacząca. Po rozpoczęciu wojny w lutym 2022 r. sytuacja zmieniła się gwałtownie. W ciągu zaledwie kilku miesięcy Finlandia porzuciła prowadzoną przez dziesięciolecia politykę wojskowego niezaangażowania i w kwietniu 2023 r. oficjalnie przystąpiła do NATO. Helsinki zamknęły wówczas większość kanałów gospodarczych łączących kraj ze wschodnim sąsiadem.

Jesienią 2022 r. praktycznie zablokowano wjazd rosyjskich turystów, a pod koniec 2023 r. zamknięto wszystkie lądowe przejścia graniczne dla ruchu pasażerskiego. Import z Rosji zmniejszył się z 8,6 mld euro w 2021 r. do niespełna 1,5 mld euro w 2023 r., a eksport – z 3,7 mld do kilkuset milionów.

Finlandia musiała również zastąpić rosyjską ropę. Przed wojną Rosja była najważniejszym dostawcą surowca dla fińskich rafinerii: w 2021 r. dostarczyła 84 proc. importowanej ropy. Po 2022 r. rosyjską ropę zastąpiono przede wszystkim dostawami z Norwegii i Stanów Zjednoczonych, płacąc między 103 a 110 dol. za baryłkę, gdy ropa rosyjska kosztowała wówczas poniżej 70.

Jednocześnie Finlandia wszczęła największy od dekad program zwiększania wydatków wojskowych. Przed wojną wynosiły one około 1,2 proc. PKB. W 2024 r. było to już około 2,3 proc., a w 2025 r. – 2,9 proc.

Najbardziej spektakularnym elementem tego zwrotu był zakup amerykańskich samolotów F-35. Finlandia zamówiła aż 64 maszyny, a wartość kontraktu wyniosła 8,5 mld euro. Poza samolotami dodatkowe środki zostały przeznaczone na artylerię, obronę przeciwlotniczą i rozbudowę wojsk lądowych. A wszystko to dzieje się w kraju, który od kilkunastu lat zmaga się z poważnymi problemami ekonomicznymi i społecznymi.

Cięcia

Symboliczna dla tego zwrotu była Sanna Marin – premier w latach 2019–2023, stojąca na czele rządu, który podjął decyzję o wejściu Finlandii do NATO. Młoda, uwielbiana przez media, doskonale funkcjonująca w epoce mediów społecznościowych oraz „polityki" opartej wyłącznie na wizerunkowych zagraniach i powtarzaniu obiegowych banałów. Osoba kompletnie pozbawiona jakichkolwiek inklinacji ideologicznych, plastyczna w stopniu uniemożliwiającym sformułowanie jakiegokolwiek samodzielnego stanowiska. Marin stała się wyjątkowo skuteczną rzeczniczką szaleńczej rusofobii i obłąkańczego euroatlantyzmu.

Nowy rząd Petteriego Orpo, utworzony w 2023 r. przez prawicę, za główny cel uznał ograniczenie deficytu i postawił – rzec można – na pełnego Balcerowicza. Ogłosił wprowadzenie do 2027 r. oszczędności w zakresie wydatków publicznych w wysokości 9 mld euro (tyle kosztowały tylko wspomniane wcześniej F-35). Zapowiedział cięcia, reformy rynku pracy i zmiany w systemie świadczeń społecznych: ograniczenie niemal wszystkich zasiłków, zmniejszenie dodatków mieszkaniowych, ograniczenie waloryzacji płac i emerytur oraz „uelastycznienie" prawa pracy.

Skutkiem tego neoliberalnego ekscesu natychmiast doszło do załamania rynku pracy. Bezrobocie wzrosło do poziomu 10 proc. Liczba osób bezdomnych z 3600 w 2023 r. wzrosła do ponad 4500 w 2025 r. Równocześnie zwiększył się odsetek osób zagrożonych ubóstwem lub wykluczeniem społecznym – do ponad 17 proc. całej populacji.

I wszystko to dlatego, że – jak mówiła Sanna Marin – „Rosja może rzucić wyzwanie Finlandii, szantażować nas i nam grozić, ale my się nie poddamy".

Efekty

W momencie rozpoczęcia inwazji na Ukrainę Rosja miała rozlokowanych zaledwie kilka tysięcy żołnierzy wzdłuż granicy z Finlandią. W bazach w tym regionie znajdowało się dosłownie kilka baterii obrony przeciwrakietowej oraz kilkadziesiąt czołgów. Nie było żadnego realnego zagrożenia inwazją,

Władimir Putin w maju 2022 r. w rozmowie telefonicznej z prezydentem Finlandii Saulim Niinistö podkreślał, że zależy mu na utrzymaniu dobrosąsiedzkich stosunków. Teraz w samym tylko Pietrozawodsku stacjonuje ponad 2 tys. czołgów,

a w Kandałakszy powstaje nowa baza dla brygady artylerii i piechoty. Tymczasem po drugiej stronie granicy bezrobocie w niektórych rejonach zbliża się do 20 proc.

Warto było?

BOJAN STANISŁAWSKI

skiego, według którego błędy zostały popełnione po obu stronach".

Komunikat jest jasny: członkowie oznakowanego, pokojowego konwoju są winni temu, że izraelskie wojsko zrobiło z nich mielonkę.

Szef MSZ też odniósł się do sprawy. Na portalu X napisał: „Partnerstwo wymaga wzajemnego szacunku". Dodał, że katastrofa humanitarna w Strefie Gazy oraz brak rozliczenia nadmiernego użycia siły przez izraelską armię osłabiają poparcie społeczne nawet w krajach proizraelskich. Resort wezwał izraelskiego ambasadora na dywanik i wydał oświadczenie: „Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie akceptuje unikania przez sprawców prawnej i moralnej odpowiedzialności. Rodzinom należy się adekwatne zadośćuczynienie".

Oddzielne śledztwo w sprawie śmierci polskiego wolontariusza prowadzi Prokuratura Okręgowa w Przemyślu. Polska kategorycznie zażądała od strony izraelskiej przekazania wszystkich materiałów dowodowych i akt sprawy. Na razie w zamian może nacieszyć się żubrem.

Na marginesie: izraelska prokuratura swoją decyzję o umorzeniu śledztwa ogłosiła 19 sierpnia, a w tym roku właśnie w tym dniu przypadał Światowy Dzień Pomocy Humanitarnej. To zapewne niezaplanowany zabieg…

Nowy przyjaciel ambasady Izraela ma na imię Żubriel. Prawda, że ładnie?

IDALIA DUBICKA

Trumpolandia

Szlachetna oferta Donalda Trumpa nie została doceniona i Kanada nie zostanie 51. stanem USA. Kanadyjski premier Mark Carney – przez Trumpa systematycznie nazywany gubernatorem – w nocy z piątku na sobotę powiedział swoim negocjatorom, żeby wracali do domu. Zerwanie negocjacji w sprawie nowych ceł nastąpiło po tym, jak strona amerykańska zażądała, aby Stany miały prawo veta wobec kanadyjskich umów z innymi państwami, pierwszeństwo w dostępie do kanadyjskich minerałów, gwarantowane ceny na zakup kanadyjskiej ropy, gazu i prądu. Amerykanie domagali się także, żeby Kanada zrezygnowała z obowiązku dwujęzycznych, angielsko-francuskich etykiet – i to był już krok za daleko. Teraz Carney zapowiada cła odwetowe „dolar za dolara", Kanadyjczycy biją mu brawo, ale gwiazdą gównoburzy jest premier prowincji Ontario Doug Ford, który ogłosił, że lider wolnego świata może go w dupę pocałować. I dodał, dopytywany: „Mam dużo powierzchni na dupie, więc on ma dużo miejsca do całowania".

Inny obiekt Trumpiego pożądania – Grenlandia – z niejakim zdziwieniem odkrył, że teksańska spółka Greenland Energy poinformowała mieszkańców Ziemi Jamesona, że ma zgodę na rozpoczęcie wiercenia, po czym rozładowała 15 kontenerów sprzętu wiertniczego. Tymczasem w 2021 r. Grenlandia przyjęła ustawę klimatyczną, zakazującą wszelkich nowych wierceń. Grenlandzki rząd wydał oświadczenie, że Greenland Energy – firma należąca m.in. do jednego z ważkich sponsorów kampanii Trumpa Kennetha Griffina – nie uzyskała zgody na przywiezienie sprzętu, nie wspominając już o wierceniu. Minister zasobów mineralnych dodał: „Jestem pewien, że ta amerykańska firma nigdy nie dopuściłaby się złamania prawa, ale jakby co, to są mężczyźni o szerokich barach w czarnych mundurach, którzy poradzą sobie z różnymi nielegalnymi działaniami". I dodał, że „połączone Dowództwo Arktyczne duńskiej armii też jest gotowe do interwencji". W odpowiedzi Greenland Energy poinformowała swoich akcjonariuszy, że „rozmowy z grenlandzkimi władzami są konstruktywne i czujemy się podbudowani postępem w procesie uzyskiwania koniecznych zgód".

A tymczasem w USA objawił się jeszcze inny obiekt pożądania prezydenta: niejaka Natalie Harp. To 35-letnia blondynka, niepokojąco podobna do córki Trumpa Ivanki. Natalie nie odstępuje Donalda na krok, a nazywana jest „ludzką drukarką", albowiem nosi ze sobą przenośną drukarkę, na której drukuje dla prezydenta interesujące go tweety, a następnie w jego imieniu wpisuje odpowiedzi na jego koncie w Truth Social. Natalie głosi, że Trump uratował jej życie – albowiem dzięki jego ustawie o dostępie do terapii eksperymentalnej wyleczono u niej raka kości. Okazuje się, że była jedną z dwóch osób z administracji, które wraz z prezydentem zostały przemycone – w furgonetce z cateringiem – z Air Force One do wojskowego odrzutowca po tym, jak służby uznały, że istnieje poważne ryzyko irańskiego ataku na prezydencki samolot powracający z Turcji. Na pokładzie samolotu zagrożonego zestrzeleniem pozostali inni pracownicy Białego Domu i dziennikarze, bo kto by się nimi przejmował.

AWŁ

eprasa.pl 416a806190

Baba w domu, cnota w ministerstwie

Konserwatywny raj po pięciu latach

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pięć lat temu talibowie zajęli Kabul. Prezydent Ashraf Ghani uciekł do Tadżykistanu. Amerykanie po 20 latach okupacji przystąpili do dość panicznego odwrotu, który świat już zawsze będzie kojarzył z dantejskimi scenami na lotnisku w Kabulu. 31 sierpnia z tego lotniska odleciał ostatni amerykański samolot. Islamska Republika stała się Islamskim Emiratem Afganistanu, a talibowie przystąpili do wdrażania w kraju programu europejskiej populistycznej prawicy w islamistycznej wersji turbo.

Nie ograniczają ich konstytucja, Unia Europejska, konwencje praw człowieka, praworządność ani zdrowy rozsądek – mogli więc na żywym organizmie przetestować najgłupsze i najśmielsze pomysły prawicowych polityków.

7 września tymczasowym premierem nowego rządu został Hasan Achund, uczeń szkół islamskich w Afganistanie i autor kilku prac teologicznych. Procedury konstytuowania władzy w emiracie są przejrzyste jak grafiki lekarzy z młodzieżówki KO, więc w pewnym momencie talibowie po prostu przestali tytułować Achunda tymczasowym i tak został zwyczajnym premierem. Po pięciu latach emiratu można już ocenić skutki rewolucji i polityki religijnych fundamentalistów. Lekcja jest ciekawa dla Polski, bo w kilku dziedzinach talibowie twórczo rozwinęli postulaty Brauna i Czarnka.

Bóg woła kobietę do domu

Marzeniem prawicy – czasem wypowiadanym całkiem otwarcie – jest powrót do tradycyjnych ról kobiet i mężczyzn. Niestety, ogłupione współczesnością, równouprawnieniem i feminizmem kobiety uczą się, robią kariery, w domu siedzieć nie chcą, przez co spada liczba urodzeń.

Przemysław Czarnek wyłożył to jasno podczas wykładu na KUL, gdzie rysował zgubne skutki edukacji i kariery dla Polek: „Ucz się, rób karierę. Kariera w pierwszej kolejności, a później może dziecko. (…) Jak się pierwsze dziecko rodzi w wieku 30 lat, to ile tych dzieci można urodzić? To są konsekwencje tłumaczenia kobiecie, że nie musi robić tego, do czego została przez Pana Boga powołana”…

Żadna Afganka nie usłyszy dziś w swoim kraju: „ucz się, rób karierę”. Talibowie mieli łatwiej niż Czarnek, bo nie musieli pierdolić się z tłumaczeniem kobietom, do czego powołał je Bóg. Po prostu zakazali im uczyć się i normalnie pracować. Kolejnymi decyzjami zabroniono kobietom pracy dla organizacji pozarządowych i agencji ONZ, a potem zamknięto damskie salony kosmetyczne – ważne źródło utrzymania dla wielu kobiet bez specjalistycznego wykształcenia. Ograniczono dostęp do parków, siłowni i łaźni. Kobiety nie mogą też podróżować dalej niż 45 mil (72 km) bez nadzoru mężczyzny z rodziny. Efekt? Pełny sukces. Tylko około 7 proc. Afganek pracuje zawodowo.

Tyle że według raportu Programu Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju (UNDP) kobiety robiące wyłącznie to, do czego powołał je Bóg, to katastrofa dla afgańskiej gospodarki. UNDP szacował, że ograniczenie zatrudnienia kobiet może oznaczać natychmiastową utratę produkcji o wartości do 1 mld dol. rocznie – 5 proc. PKB Afganistanu z 2021 r. Te prognozy trudno dziś zweryfikować, ale gospodarka rozwija się wolniej, niż przybywa mieszkańców – około 1,9 proc. rocznie – a dochód na głowę spada. Statystyczny Afgańczyk z każdym kolejnym rokiem konserwatywnego raju robi się więc biedniejszy.

Kobiety nie pracują, to może chociaż rodzą dzieci? Tak. Sposób Talibów na demografię zadziałał lepiej niż 500 plus w Polsce: afgańska kobieta rodzi średnio prawie piątkę dzieci, co lokuje Afganistan w światowej czołówce. Ale nawet tutaj tendencja jest spadkowa – w latach 90. dzietność Afganek zbliżała się do siedmiorga.

Szkoła marzeń

Afganistan jest dziś jedynym krajem na świecie, w którym dziewczęta nie mogą chodzić do szkoły średniej, a kobiety studiować na uniwersytetach. Edukację kończą na szóstej klasie, a potem mogą już spokojnie realizować swoje powołanie: rodzić dzieci i zajmować się domem.

Według UNESCO od początku rządów talibów 2,4 mln dziewcząt zostało pozbawionych dostępu do edukacji ponadpodstawowej. Szacuje się, że zakaz edukacji dziewcząt może w długiej perspektywie kosztować Afganistan 9,6 mld dol. strat w gospodarce, a około 600 tys. kobiet może zniknąć z rynku pracy do 2066 r. Dziś resztka pracujących Afganek zajmuje głównie stanowiska wymagające kwalifikacji – między innymi w szpitalach, szkołach i urzędach.

Na razie eksperyment pod hasłem „kobieto, nie ucz się i nie rób kariery, będziesz szczęśliwa w domu” daje więc następujący rezultat: w Afganistanie rodzi się dużo dzieci, ale będą one coraz biedniejsze, a połowa z nich zakończy edukację na podstawówce.

Prywatne sprawy

Istnieje metoda na państwo całkowicie wolne od problemu LGBT: wystarczy sprawić, żeby problemem stało się bycie LGBT.

Grzegorz Braun w swoim programie prezydenckim „Braun 2025” obiecywał wprowadzenie „zakazu propagandy dewiacji (m.in. parad i wystaw LGBT)”. Przemysław Czarnek jest tu może nieco bardziej liberalny – jako wojewoda lubelski uważał, że „obnoszenie się ze swoją seksualnością na ulicy jest po prostu obrzydliwe”.

W Afganistanie człowiek LGBT ze swoją orientacją się nie obnosi w pracy, szkole czy przed sąsiadami. Dla własnego bezpieczeństwa nie powinien obnosić się również przed człowiekiem, z którym chciałby stworzyć związek. Talibowie nie bawili się w półśrodki. W 2024 r. uchwalili ustawę o propagowaniu cnoty i zapobieganiu występkowi. Prawo kryminalizuje stosunki homoseksualne, a nawet przygotowania do nich. Kary? Według stosowanego przez talibskie sądy szariatu za stosunki homoseksualne może grozić nawet śmierć, a według raportów na razie sądy skazują oskarżonych między innymi na publiczną chłostę i więzienie.

Talibowie poszli więc o krok dalej od zasady Czarnka: „homoseksualizm to prywatna sprawa, byle się z nim nie obnosić”. W Afganistanie można zostać ukaranym również wtedy, gdy homoseksualizm pozostaje sprawą jak najbardziej prywatną. Tęczowej propagandy w Afganistanie faktycznie nie ma. Są za to zawstydzające raporty ONZ o prześladowaniu niewinnych ludzi.

Ministerstwo cnót wszelakich

Każdy polityk prowadzący wojnę z upadkiem obyczajów marzy zapewne czasami, żeby zamiast kolejnego wywiadu w TV Republika dostać po prostu ministerstwo do zwalczania upadku zasad. Talibowie takie ministerstwo mają. To Ministerstwo Propagowania Cnoty i Zapobiegania Występkowi. Sama nazwa brzmi jak połączenie Ministerstwa Edukacji Czarnka, komisji episkopatu i sąsiadki wyglądającej przez firankę – tyle że wyposażonych w uprawnienia państwowe i solidny katalog kar.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Urzędnicy pilnują, czy kobiety są odpowiednio ubrane i nie prowokują mężczyzn, ale także czy mężczyźni mają właściwe brody, czy młodzież nie słucha niewłaściwej muzyki i czy obywatele przypadkiem nie bawią się lepiej, niż przewiduje oficjalna interpretacja islamu. Talibowie rozwiązali w ten sposób odwieczny problem konserwatywnej polityki: jak skłonić ludzi do dobrowolnego życia zgodnie z tradycyjnymi wartościami? Po prostu zrezygnowali z dobrowolności. A że każda administracja potrzebuje mierzalnych rezultatów, sukces Ministerstwa Cnót można ocenić bardzo łatwo: im mniej rzeczy obywatelowi wolno, tym mniej okazji pozostaje mu do popełnienia występku.

Rozwiązali problem migracji

Wszystkie te nakazy i zakazy, rujnujące życie kobiet i mniejszości, a przy okazji gospodarkę, mają z punktu widzenia prawicy jedną ogromną zaletę.

Upadająca Unia Europejska, siedlisko zła i zepsucia, ciągle pozostaje celem nielegalnej migracji ludzi z całego świata – w tym z Afganistanu. W konserwatywnym raju talibów tego problemu nie ma. Do Afganistanu migrować nie chce dosłownie nikt.

Przeciwnie – talibowie muszą raczej martwić się o to, żeby szczęśliwi obywatele z raju nie spierdalali. W pierwszym roku ich rządów z Afganistanu wyjechało o około 650 tys. ludzi więcej, niż do niego przyjechało. Później różnica się zmniejszyła i przewaga wyjeżdżających wynosi obecnie 50–75 tys. rocznie. Głównie dlatego, że ogromna część tych, którzy mogli uciec, już to zrobiła.

Nie ma więc mowy nie tylko o masowym napływie nielegalnych imigrantów, ale również o „kulturowym zastąpieniu”. Do Afganistanu przyjeżdżają niemal wyłącznie afgańscy muzułmanie, którzy wcześniej uciekli przed wojną albo zostali zmuszeni do powrotu przez inne państwa.

Jakoś niechętnie migrują natomiast do afgańskiego raju europejscy i polscy konserwatyści. Ma to pewnie związek z kolejnym sukcesem talibów.

Nie obnoś się z krzyżem

Afganistan osiągnął niemal stuprocentową zgodność społeczeństwa w sprawach religijnych oraz skutecznie ograniczył publiczną apostazję. Jednym z powodów może być fakt, że poinformowanie państwa o zmianie poglądów religijnych może być karane śmiercią. Ustawa o propagowaniu cnoty i zapobieganiu występkowi zabrania nieislamskich ceremonii religijnych oraz penalizuje noszenie lub popularyzowanie większości symboli konkurencyjnych religii, w tym krzyży. W praktyce wyznawcy innych religii niż islam – zwłaszcza osoby, które przeszły z islamu na inne wyznanie – zmuszeni są praktykować religię w ukryciu.

Jeśli więc polscy konserwatyści chcą osobiście doświadczyć korzyści systemu, w którym kobiety pełne cnót niewieścich siedzą w domu, a państwo zwalcza występek, muszą w Afganistanie zastosować się do rady, którą tak chętnie kierują do mniejszości seksualnych: nie obnosić się, praktykować po kryjomu w domu.

Wygrana wojna

Czy coś się talibom udało? Raporty międzynarodowe wskazują, że w Afganistanie jest znacznie bezpieczniej niż podczas wojny domowej związanej z obecnością wojsk amerykańskich. Radykalnie ograniczono nielegalne uprawy opium, a po początkowym załamaniu gospodarka się ustabilizowała. Tyle że ustabilizowała się na bardzo niskim poziomie, przy ogromnym ubóstwie i zależności od zagranicznej pomocy.

Afganistan jest więc interesującym przypadkiem nie dlatego, że Przemysław Czarnek, Grzegorz Braun czy Krzysztof Bosak chcą w Polsce Afganistanu. Nie chcą. Talibowie pokazali w Afganistanie, co może się stać, kiedy państwo uzna moralną przebudowę społeczeństwa za ważniejszą od edukacji i wolności.

Wygrali z feminizmem, LGBT i zachodnim zepsuciem. Doprowadzili kobiety z powrotem do domu, religię do centrum państwa, a cnotę do ministerstwa. Ale po pięciu latach przegrywają prawie wszystko, co decyduje o jakości życia. A Afgańczycy głosują nogami i uciekają do Unii Europejskiej.

LEON ORŁOWSKI

eprasa.pl 416a806190

Sport cybernetyczny

Wychowany na fantastyczno-naukowej prozie Stanisława Lema instynktownie nie ufam sztucznej inteligencji. Bardzo boję się buntu robotów.

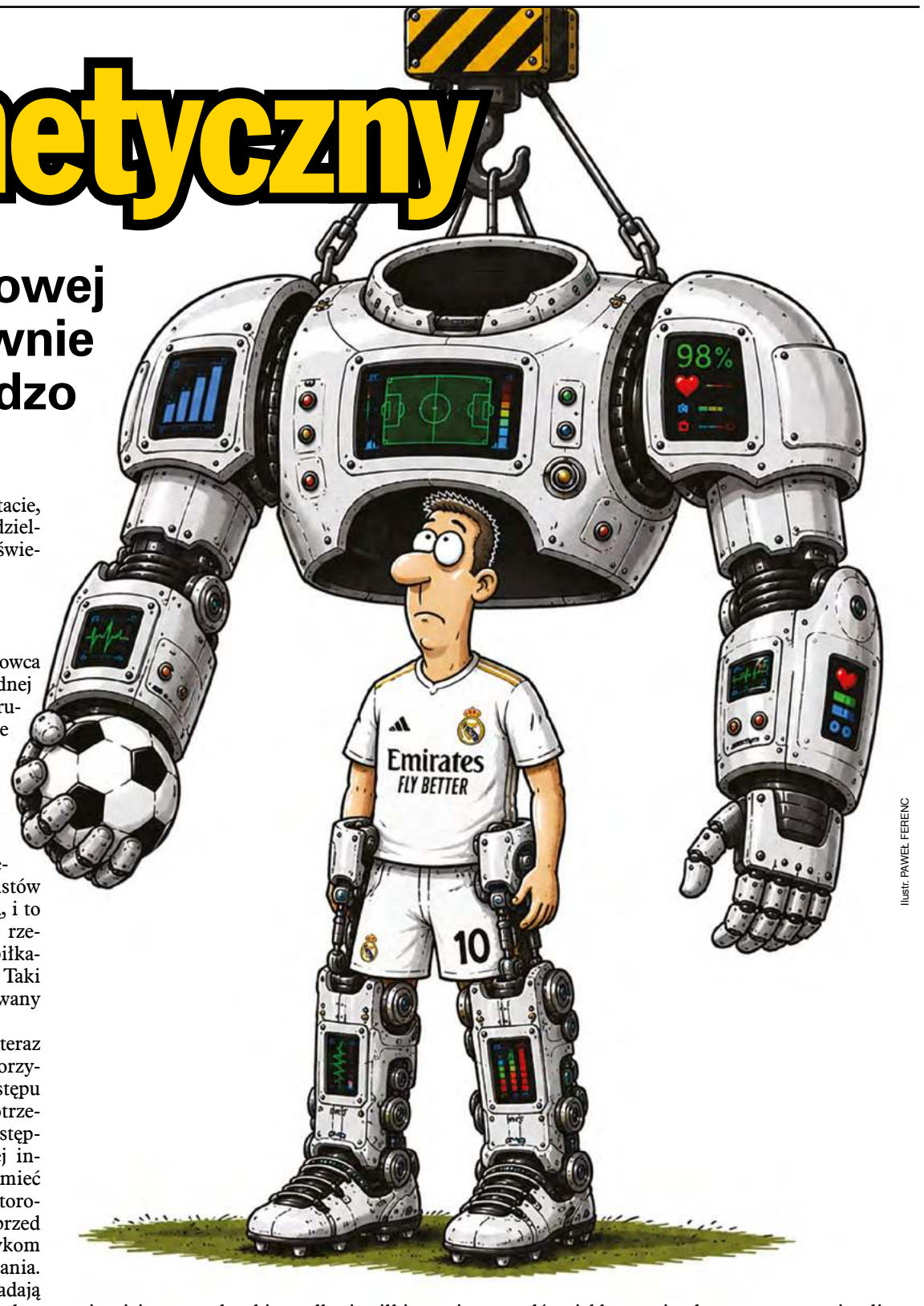

Ilustr. PAWEŁ FERENC

No, buntu robotów jeszcze nie mieliśmy, ale pani profesor Barbarze Mróz-Gorgoń sztuczna inteligencja, zwana w skrócie AI (ang. *artificial intelligence*), nieźle dała po głowie. Sprawa jest znana. Premier Donald Tusk publicznie i uroczyście przedstawił panią profesor jako najwybitniejszą w Polsce specjalistkę budowania wizerunku, żeby po niespełna trzech tygodniach przyjmować jej dymisję ze stanowiska pełnomocniczki rządu ds. promocji marki Polska. Raport „Polaków portret własny", firmowany jej nazwiskiem, pisała sztuczna inteligencja, i to raczej z tych mniej inteligentnych, bo roi się tam od błędów zarówno merytorycznych jak i stylistycznych.

Barbara Mróz-Gorgoń jednak nie rzuca oszczepem, nie gra w piłkę, nie wspina się na czas po pionowej ściance, więc wara od niej dziennikarzowi sportowemu. Niech zajmują się nią i jej raportem inni żurnaliści. Ale AI znajduje zastosowanie w wielu dziedzinach życia i gospodarki: w finansach, transporcie, medycynie, handlu, edukacji, tłumaczeniach i Bóg raczy wiedzieć w czym jeszcze. W sporcie zawodnicy coraz bardziej przypominają automaty sterowane komputerowo. Już teraz w wielu dyscyplinach AI zastępuje doświadczenie, intuicję i wiedzę trenerów. A jeśli jeszcze całkiem nie zastąpiła, to wkrótce to nastąpi. Widać niestety zmierzch wielkich trenerskich osobowości, które nie tylko ja tak bardzo podziwiałem i ceniłem.

AI strzela gola

Sztuczna inteligencja potrafi analizować taktykę drużyny, i to w czasie rzeczywistym. Coraz częściej widać, że trener nie biega już przy boisku, ale on lub jego pomocnicy na ławce rezerwowych siedzą z nosami w komputerze. AI podpowie im, jak zmienić ustawienie zawodników na murawie. Szczególnie ważne jest to podczas wykonywania tzw. stałych fragmentów gry. Zwróćcie uwagę, że to po nich pada coraz więcej goli, choć przecież AI podpowiada rywalom, w jaki sposób mają chronić się przed niebezpieczeństwem.

Na razie sztuczna inteligencja nie zastąpiła jeszcze Pepa Guardioli, José Mourinho, Louisa Enrique. Mogą nadal spokojnie pracować, udzielać wywiadów, pobierać wysokie honoraria, ale w zaawansowanych firmach komputerowych pracują nad tym, by w przyszłości wysadzić ich z siodła. Nie, nawet nie chcę o tym myśleć.

Zawsze z podziwem patrzyłem na trenerskie autorytety. Miałem zaszczyt, pracując w redakcji „Przeglądu Sportowego", poznać legendarnego Feliksa Stamma. Był już emerytem, ale wpadał do nas, aby spotkać się i pogadać ze swoim przyjacielem, równie legendarnym dziennikarzem Jerzym Zmarzlikiem. My, dziennikarska młodzież, mogliśmy tylko przysłuchiwać się ich rozmowom. Zdumiewało, jak ten niewysoki, grzeczny i cicho mówiący człowiek potrafił trzymać w garści kadrę bokserów, chłopaków o różnych – czasem krętych – życiorysach.

Czy jakaś sztuczna inteligencja potrafiłaby zastąpić „Papę" Stamma? Nie chce mi się wierzyć, ale nie powiem „nie", bo już tyle nowości przeżyłem za mojego życia, że chyba wszystko jest możliwe.

Przecież na warszawskim Mariensztacie, pierwszej w pełni odbudowanej stołecznej dzielnicy, gdzie spędzałem dzieciństwo, ulice oświetlały jeszcze gazowe latarnie.

Zawodnik zrobotyzowany

Bardzo ważne – z punku widzenia szkoleniowca – jest takie prowadzenie treningów, żeby z jednej strony nie zajechać podopiecznych, ale z drugiej strony – sprawić, aby ich przygotowanie fizyczne było optymalne. Kiedyś najważniejsze były doświadczenie i osławiony trenerski nos. Teraz ten nos ma nieocenioną pomoc ze strony elektroniki i sztucznej inteligencji.

Każdy, kto interesuje się piłką nożną, musiał widzieć nietypowe czarne urządzenia o kroju stanika noszone przez futbolistów pod koszulką. Dzięki niemu analizowane są, i to – znów użyje tego stwierdzenia – w czasie rzeczywistym, wszystkie parametry fizyczne piłkarza zarówno podczas meczu, jak i treningu. Taki ogrom danych nie mógłby być przeanalizowany bez pomocy AI.

Sport jest tą dziedziną, w której już teraz sztuczna inteligencja jest na co dzień wykorzystywana. Wyczynowy zawodnik podczas występu i treningu generuje ogrom danych, a AI potrzebuje właśnie wielu danych. Dane te są następnie analizowane przez algorytmy sztucznej inteligencji i pozwalają szkoleniowcom rozumieć stan fizyczny swoich podopiecznych, monitorować ich obciążenia treningowe, ostrzegać przed możliwością wystąpienia kontuzji, dietetykom podpowiedzieć najlepsze sposoby odżywiania. Krótko mówiąc, zastępują to, co podpowiadają im przyswojona podczas nauki wiedza oraz nabyte doświadczenie.

Kolarz, a za pomocą radia jego trener w wozie technicznym, dostaje informacje o aktualnej wydolności, potrzebie nawodnienia, możliwości włożenia większego wysiłku i czego jeszcze dusza zapragnie. W pewnym sensie zawodnik przypomina bolid Formuły 1 sterowany przez kierowcę, ale non stop informowanego z bazy o stanie technicznym pojazdu, zużyciu opon itp. Ale na rowerze i za kierownicą wyścigówki siedzi jednak człowiek, i to od jego doświadczenia i możliwości zależy wynik.

VAR prawdę ci powie

W sporcie coraz większą rolę odgrywają detale. Dotyczy to nie tylko sportowców i sztabów szkoleniowych. Zawody muszą być coraz precyzyjniej i coraz sprawiedliwiej sędziowane. Technika VAR w piłce nożnej nie jest nowością, zadebiutowała w 2017 r. Od tego czasu VAR był coraz bardziej doskonalony, choć trudno stwierdzić, czy jest on już doskonały (raczej nie). Najwięcej wątpliwości wzbudzała zawsze pozycja spalona. Z boiska nawet najlepszy sędzia może się pomylić. Zaczęto więc zatrzymywać obraz i wykreślać na nim linię; to był już spory postęp. Począwszy – o ile pamiętam – od mistrzostw świata w Katarze wprowadzono tzw. półautomatyczny spalony. Tu nie może być błędu, a informację arbiter dostaje natychmiast.

Na pewno wielkim postępem jest technika goal-line zaczerpnięta z futbolu amerykańskiego. Aby gol został uznany, piłka całym obwodem musi przekroczyć linię bramkową. W finale piłkarskich mistrzostw świata w 1966 r. na Wembley padł gol nazywany golem widmo. W dogrywce finałowego meczu Anglik Geoff Hurst strzelił na zachodnioniemiecką bramkę, piłka odbiła się od poprzeczki i upadła – no właśnie: gdzie? Na linię czy za nią? Dyskusje nadal trwają. Dziś dzięki technice goal-line arbiter natychmiast dostałby prawidłową podpowiedź na swój zegarek.

W siatkówce VAR jest nieoceniony, obraz pozwala wychwycić nawet najmniejsze draśnięcie najmniejszym paluszkiem dłoni piłki, zanim wyjdzie ona za linię boczną, a tzw. sokole oko zwolniło z pracy sędziów autowych. W tenisie komputerowo wytyczone linie autów sprawiły, że rola arbitra ogranicza się w zasadzie do liczenia punktów.

VAR stosowany jest w hokeju, koszykówce i w innych sportach, a wszystko to bez AI byłoby niemożliwe. Żaden człowiek nie jest w stanie tak błyskawicznie przeanalizować wszystkich danych, nie mówiąc już o zawodności ludzkich zmysłów.

Sztuczna inteligencja bywa wykorzystywana nawet w mniej istotnych kwestiach. Holenderska kolarska grupa zawodowa Team Visma Lease a Bike postanowiła sztuczną mózgownicę zatrudnić do zaprojektowania swoich koszulek. Zadanie postawiono AI niełatwe: na koszulce mają się znajdować motywy i barwy stosowane przez wszystkich najsłynniejszych niderlandzkich malarzy. Mnie osobiście koszulka zaproponowana przez AI się podobała, ale chyba nie wszystkim, bo widzę, że Team Visma Lease a Bike nadal startuje w swoich tradycyjnych czarno-żółtych barwach.

Czar dawnych lat

Nie piję alkoholu od z górą trzech dekad, nie palę od jakichś 10 lat, za to nałogowo śledzę najlepszą żużlową ligę świata, czyli Ekstraligę. Począwszy od obecnego – zbliżającego się do końca – sezonu Canal+ zafundował telewidzom nową rozrywkę. Transmisje urozmaica AI. Sztuczna inteligencja przewiduje wynik każdego biegu, a także całego meczu. Oglądam te dane z satysfakcją. Sztuczna inteligencja często się myli, choć przecież dostała do analizy ogrom danych. Czyli jednak sport jest nieprzewidywalny. Gdyby tak nie było, zbankrutowałyby firmy bukmacherskie, których reklamy zdominowały ostatnio bandy przy arenach i na koszulkach sportowców.

Pochwalę się, że w przedinternetowych czasach, mało, w czasach gdy w drukarni pracowaliśmy nie tylko bez komputerów, ale z ołowianymi czcionkami, potrafiliśmy dokonywać takich cudów, jakby wspierała nas sztuczna inteligencja. A mogliśmy polegać tylko na swoich oraz towarzyszy sztuki drukarskiej mózgach (czasem zmąconych dawką gorzałki). Gdy pracowałem w dziennikach, najbardziej liczyła się szybkość wydrukowania informacji.

Wyglądało to tak: dajmy na to, odbywa się mecz piłkarski Polska–Węgry i kończy pół godziny przed kalandrem, jak nazywała się ostatnia czynność przed odlaniem w ołowiu walca, który wędrował na maszynę drukarską. Od tej chwili niczego nie można było zmienić. Sprawozdanie musiało być w miarę obszerne i umieszczone na eksponowanym miejscu kolumny, czyli strony. Jeszcze przed pierwszym gwizdkiem mieliśmy przygotowane w drukarni trzy wersje dużego tytułu: „Porażka Polaków z Węgrami", „Remis Polaków z Węgrami' i – oczywiście – „Zwycięstwo Polaków nad Węgrami". Wystarczyło później wstawić odpowiedni.

Po obejrzeniu w telewizji pierwszej połowy meczu pisaliśmy i od razu zsyłaliśmy do drukarni najważniejszą część sprawozdania. Po zakończeniu meczu wystarczyło dopisać lead, czyli wstęp, oraz zakończenie i gotowe. Pół godziny po ostatnim gwizdku maszyna drukarska już pracowała.

„Trybuna Ludu", w której dziale sportowym długo pracowałem, była współorganizatorem największej w demoludach i jednej z największych w świecie imprez kolarskich – Wyścigu Pokoju. Wyścig cieszył się niesamowitą popularnością, ludzie włazili na drzewa, żeby zobaczyć peleton, a finisze odbywały się na wypełnionych po brzegi stadionach. Gdy etap kończył się w Warszawie, wychodzący ze Stadionu Dziesięciolecia kibice dostawali nadzwyczajny dodatek „Trybuny" z relacją z tego, co właśnie obejrzeli. Dodatek był oczywiście robiony podobnym sposobem jak opisany przeze mnie „teoretyczny" mecz Polska–Węgry.

Ciekaw jestem, czy dzisiaj z pomocą AI oraz komputerowego druku udałoby się utrzymać takie tempo.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 26.08.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 416a806190

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Ja – powiedział Gruppenführer Lukas Schreiber z klubu parlamentarnego Fortschritt Plus. – Ja to prrroponuję i pan prrremierrr Matthäus Morrrawietzky to prrroponuje.

Schreiber miał na sobie krótkie skórzane spodnie z Bawarii i czerwono-biało-czarną opaskę na ramieniu. Mówił twardym enerdowskim akcentem, patrzył na dziennikarzy z wyższością, zwłaszcza na tych o cudzoziemskim wyglądzie.

– Jak się będzie nazywała ta formacja? – pytali przedstawiciele mediów.

– Es De – odpowiedział Parteiführer Morawietzky. Także nosił opaskę, a w ręku gniótł tyrolski kapelusik z piórkiem.

– Ale nie znaczy to Sicherheitsdienst des Reichsführers SS, czyli Służba Bezpieczeństwa Reichsführera SS, lecz po prrrostu Służba Deporrrtacyjna – wtrącił Schreiber i szeroko się uśmiechnął.

Uśmiech Morawietzky'ego był za to wąski i krzywy, lecz równie szczery.

– Mamy też inne propozycje specjalnego ustawodawstwa dla imigrantów – rzekł, gdy skończył się uśmiechać.

– Das Individuelleneinwanderkonto – dodał Gruppenführer.

– Co oznacza indywidualne konto imigranta – przetłumaczył Parteiführer. – Imigranci będą też musieli nosić opaski takie jak moja, tylko żółte.

– W ten sposób wprrrowadzimy ostateczne rrrozwiązanie kwestii imigrrrantów.

– Jak będą ubrani funkcjonariusze Es De? – zapytała dziennikarka, która wyglądała jak góralka z Góry Synaj.

– Będą nosili mundurrry – odpowiedział Schreiber.

– Zamówiliśmy już w domu mody Hugo Bossa – dorzucił Morawietzky. – Najpewniej będą czarne z charakterystycznymi dystynkcjami.

– Z trupimi główkami na czapkach? – drążyła dziennikarka.

Politycy Fortschritt Plus Organisation ani nie potwierdzili, ani nie zaprzeczyli.

– Czy są jeszcze jakieś pytania? – spytała po chwili frau Olga Semeniuk. Chciałaby być podobna do pięknej Aleksandry Śląskiej z filmu „Pasażerka", ale nie była.

Semeniuk zrobiła przepisowy w tył zwrot, a Morawietzky skrzywił usta w próbie uśmiechu. Schreiber stał na szeroko rozstawionych nogach, kciuki założył za szelki swoich skórzanych majtek, chociaż marzył o tym, żeby podnieść prawą rękę w dumnym salucie rzymskim.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN planuje szukać lata we Włoszech. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** już się cieszy jesienią.

Wołk-Łaniewska: – Pamiętasz, co mówiłaś o strefach czystego transportu?

Senyszyn: – Że to dyskryminacja o charakterze klasowym; ekologiczna fikcja stworzona przez bogatych dla bogatych, a uderzająca w biednych, którzy mają stare samochody.

– I ja się w pełni zgadzam. Ale mam pomysł, jak na bazie tego modelu wymyślić coś pożytecznego społecznie. Otóż należy zakazać wjazdu do centrów miast podrasowanym samochodom ze sztucznie zwiększoną mocą silnika.

– Rozumiem, że nawiązujesz do tragedii w Krakowie, gdzie 26-letni gówniarz w sportowym Golfie zabił matkę i ojca, a niemowlę wysłał do szpitala.

– Dokładnie. Ten model ma 333 konie mechaniczne, co samo w sobie jest szaleństwem, ale prokuratura „nie potwierdza i nie zaprzecza", że jeszcze mu dołożył mocy w tuningu. I ja mam propozycję, żeby takim samochodom – z wyżyłowaną w tuningu mocą – zakazać wjazdu do centrów miast, a najlepiej do miast w ogóle. Bo jak ktoś kupuje samochód z potężnym silnikiem fabrycznym i ciągle mu mało – to musi mieć coś z głową i na pewno nie należy go puszczać między ludzi wraz z tym niebezpiecznym narzędziem.

– Możesz mieć rację. Zwłaszcza że z badania zleconego przez PZU w ramach kampanii pod intrygującym tytułem „Mistrzu, zwolnij" wynika, że 56 proc. kierowców w wieku 18–24 lata odpowiada z jasnym czołem: „Jeżdżę szybko, ale bezpiecznie". W kohorcie wiekowej zabójcy z Krakowa już mniej, bo 45 proc., ale on na pewno tak sądził. A naprawdę przy prędkości powyżej 80 km/h już się nie w pełni panuje nad samochodem.

– A skoro już jesteśmy przy tych, co mają coś z głową: jak ci się podoba historia zegarka pana Piesiewicza?

– Szczególnie mnie ujęła opowieść o tym, że szef PKOl musiał korzystać przy zakupie z pomocy właściciela szemranej spółki z kryptowalutą, bo to taki ekskluzywny zegarek, że byle komu nie sprzedają.

– A ja ci się przyznam, że chyba już wolę, żeby to była łapówka. Bo alternatywa jest jeszcze gorsza: że kolo na państwowej de facto posadzie – PKOl to zrzeszenie związków sportowych, a one są finansowane z budżetu – ma tak nasrane do głowy, że musi mieć zegarek za szmal, za który inni przeżywają cztery lata, a na prowincji można kupić małe mieszkanie. Świat jest coraz bardziej dziwaczny…

– To akurat prawda, tylko nie wiem, dlaczego właśnie Patek Philippe doprowadził cię do tego odkrycia.

– Nie, głównie Balenciaga, która sprzedaje torebki po czipsach ziemniaczanych za 1650 euro. Oraz worki na śmiecie za 2024 dolary. Choć szczyt osiągnął Louis Vuitton, który skopiował torbę, znaną w całej Afryce jako „Ghana must go", i zażyczył sobie za nią trzy tysiące dolków.

– To musimy wyjaśnić: chodzi o takie duże polipropylenowe torby w kratę, w których swój towar nosili np. przybysze zza wschodniej granicy, handlujący na bazarach w latach 90.

– W związku z czym w Polsce noszą one ludową nazwę „ruskie torby".

– A w Afryce nazywają się „Ghana must go", od kiedy w 1983 r. Nigeria z dnia na dzień wydaliła dwa miliony nielegalnych migrantów z Afryki Zachodniej, głównie z Ghany. I ci wygnani ludzie pakowali cały swój dorobek w takie właśnie kraciaste torby…

– A potem ten symbol wykluczenia i ksenofobii z jednej strony, a wytrwałości i przetrwania z drugiej – został brutalnie zawłaszczony przez luksusową markę i jest sprzedawany bezmózgim kretynkom, które w życiu nie słyszały o Ghanie. Bez gilotyny się nie obejdzie.

– Widzę, że się radykalizujesz…

– A jak! Trudno się nie radykalizować w takich czasach. Zmieńmy temat, zanim mnie oskarżą o próbę obalenia ustroju siłą…

– To chyba już nie w tym ustroju.

– Teraz to się nazywa „zmiana przemocą konstytucyjnego ustroju Rzeczypospolitej Polskiej". Od 10 lat do dożywocia.

– No dobrze, to ja zmieniam: zaczyna się rok szkolny…

– Co ciebie akurat nie ma powodu obchodzić. I mnie też nie.

– Otóż nie masz racji. Nie obchodzi mnie osobiście, ale ideowo jak najbardziej. 1 września jest bowiem – kolejną – rocznicą klerykalizacji szkolnictwa, pod którą kamień węgielny położył w swoim prywatnym interesie, na telefoniczne polecenie prymasa Glempa, do dziś wychwalany premier Tadeusz Mazowiecki. Bez najmniejszego oporu, od ręki, instrukcją ministra edukacji z 3 sierpnia 1990 r., już od 1 września wprowadził do szkół lekcje religii, całkowicie wyłączone spod kontroli władz świeckich.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Ja bym się kłóciła, czy on to zrobił „w swoim prywatnym interesie". Raczej z takiej ogólnej dupowatości, która towarzyszyła mu przez całą polityczną aktywność. Ten facet w ogóle nie rozumiał, co się dzieje – podobnie jak jego wyznawcy. Pamiętam anegdotę Ikonowicza z 1990 r. o różnych warszawskich inteligentach, którzy chodzili tam i z powrotem po Krakowskim Przedmieściu i wzajemnie się zapewniali, że osobiście nie znają nikogo, kto nie będzie głosował na Mazowieckiego…

– A ja jestem przekonana, że Mazowiecki liczył, iż bezprawnym gestem kupi sobie przychylność Kościoła w kampanii prezydenckiej. Naiwnie, bo kler stawia na zwycięzców, a w 1990 r. pewniakiem był Wałęsa.

– Sama na niego głosowałam. W obu turach. Bo to był najbardziej wyrazisty głos przeciw Balcerowiczowi.

– A przynajmniej tak się wydawało, bo namaszczony przez Wałęsę na premiera Jan Krzysztof Bielecki natychmiast zrobił Balcerowicza ministrem finansów.

– Nie wszystkie moje wybory okazały się trafione. Wracając do Kościoła: to, że wtedy – na początku lat 90. – politycy wszelkiej maści łasili się do biskupów, jest jakoś tam zrozumiałe. Dostęp do wiedzy był ograniczony, a zaufanie do historyków z Polski Ludowej nieprzesadne. Ale to, że po 37 latach nadal obowiązuje mit, że „Kościół był ostoją polskości w PRL", to już dowód na totalną odporność na rzeczywistość. Kościół chodził do łóżka z komuną co najmniej od 1956 r., a za Gierka to już był pełny konkubinat. Jaruzelski też z Kościołem nie wojował, a Kiszczak osobiście spotykał się z abp. Dąbrowskim i zwalniał z internowania wszystkich, o których biskup prosił.

– Prawda. Ale po zmianie ustroju było znacznie gorzej. W 1991 r. Trybunał Konstytucyjny, nazwany przeze mnie klerykalnym, bo był i jest na usługach Kościoła katolickiego, bezpodstawnie oddalił skargę rzecznika praw obywatelskich prof. Ewy Łętowskiej na niekonstytucyjność wprowadzenia religii do szkół. Od roku szkolnego 1997/1998 katecheci przeszli na garnuszek państwa. Z misji ewangelizacyjnej zrobił się interes wart 1,5 mld zł rocznie. Od 2007 r. ocenę z religii zaczęto wliczać do średniej, a dwa lata później TK ponownie się skompromitował, uznając i ten numer za zgodny z konstytucją.

– No ale czego by nie mówić o tym rządzie – a mówimy dużo i źle – ministra Nowacka nieco to przykróciła. Co wprawia episkopat w histerię.

– Nawet wydał oświadczenie w tej sprawie: „Nakaz umieszczania lekcji religii przed lub po innych zajęciach szkolnych, redukcja wymiaru nauczania do jednej godziny tygodniowo, możliwość łączenia klas oraz usunięcie oceny z religii ze średniej ocen prowadzą do ich marginalizacji w polskiej szkole"… Jedna godzina tygodniowo religii w przedszkolach i szkołach, to i tak o jedną za dużo.

– Ale jakiś postęp jest.

– Jest. Jak z tym dziadkiem, który spóźnił się na pociąg i cieszy się, że lepiej późno niż wcale…

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 416a806190